Cena egz. 60 gr. Należność pocztowa uiszczona ryczałtem

WOLNOMYŚLICIEL POLSKI

DZIESIĘCIODNIOWIEC

ROK VIII WARSZAWA — 1935 — 1 SIERPNIA 26 NUMER

REDAGUJE KOMITET

Testament Augusta Forela *)

Drogie dzieci, krewni, przyjaciele!

Umarły mówi do was, ale bądźcie spokojni, nie będę wam nic mówił o tańcu śmierci. Zresztą proszę wszystkich, którzy nie mogą i nie chcą słyszeć prawdy, żeby się usunęli.

Gdy byłem obecny na pewnej liczbie pogrzebów, gniewało mnie, a nawet oburzało, jak niektóre niewierzące osoby, czy to ze słabości, czy z obojętności, frymarczą sobą na korzyść kościołów, które ze swej strony usiłują przedstawić nieboszczyka, jako zwolennika swoich wierzeń. Powziąłem zatem postanowienie, żeby w dzień spalenia mego ciała zwrócić się do was osobiście i samemu przemówić we własnej swojej obronie w chwili, gdy z poza grobu przesyłam wam ostatnie pożegnanie. Czyście kiedy pomyśleli o racji istnienia życia i śmierci? Czy warto żyć, czy należy przekładać byt nad niebyt i, w razie odpowiedzi twierdzącej, dlaczego? Czy obserwowaliście kiedy bez uprzedzenia życie człowieka lub zwierzęcia od urodzenia do śmierci? Czy zastanawialiście się w następstwie nad życiem gatunków i ich stopniowem przeobrażaniem się w nieustannem następowaniu p[illegible] Czyście zwrócili uwagę na oczywiste pokrewieństwo świata roślinnego i zwierzęcego? Czy zadawaliście sobie kiedy pytanie, jak siła wyobraźni karmiona przesądami i tradycyjnemi uprzedzeniami, mogła obdarzyć ludzkość przesądem tak niedorzecznym, że dopiero w ubiegłym stuleciu udało się nauce otworzyć ludzkości oczy na uderzające zjawiska rozwoju? Śmierć oznacza bądź gwałtowny, bądź naturalny koniec wprawdzie nie życia gatunku, lecz życia jednostki — życia, które kładzie kres już zużytej cząstce wszechbytu, ale które jednocześnie odmładza się i odnawia ze swoich zarodków.

Czy pojęliście, drodzy przyjaciele, że większość wyznań, przekazanych nam przez poprzednie pokolenia, to płód przesądnej ekstazy, próżności i egoistycznego nastawienia człowieka? Przekłada on pochlebiające mu mamidła fantazji nad rzeczywistość. Studjujcie proroków, patrzcie, jak oszukańczo nadali jednemu, lub więcej bogom oblicze ludzkie, bogom, których później przedstawiają jako stwórców świata. W swojem zachwyceniu wierzyli oni, że słyszą i widzą osobiste objawienia tych rzekomych bóstw, które im oznajmiły, że stworzyły człowieka na swoje podobieństwo i że obdarzyły go wiecznem życiem. Zrozumiecie wtedy, jak, chcąc pogodzić cierpienia i bezlitosną surowość życia rzeczywistego z istnieniem rzekomo doskonałego, a jednak tak ludzkiego boga, wynaleźli oni demony, pomocników zła i współzawodników ich boga, którego wszechwładza tym sposobem została postawiona mocno pod znakiem zapytania. Patrzcie tedy na niego, tego budzącego strach uosobionego boga, syna nie-

---

*) W dniu 28 lipca r. b. minęło cztery lata od śmierci wielkiego przyrodnika szwajcarskiego, wolnego myśliciela, dr. prof. Augusta Forela. Zmarły w 83 roku życia uczony napisał na pewien czas przed śmiercią „Testament", który polecił swemu najstarszemu synowi odczytać nad swoją trumną przed spopieleniem zwłok w krematorjum (zob. W. P. z 1931 r. str 499). Pogrzeb Augusta Forela odbył się 29 lipca 1931 r. w Lozannie w obecności licznych przedstawicieli ze świata nauki. Testament Forela dopiero niedawno ukazał się w druku, jako dodatek do pamiętników zmarłego badacza mrówek i autora znanych polskim czytelnikom „Zagadnień seksualnych" oraz „Mózgu i duszy" („Rückblick auf mein Leben", Europa—Verlag, Zurich) i dlatego dopiero teraz możemy, dzięki uprzejmości wydawców, podać naszym czytelnikom pełny tekst tego oryginalnego testamentu.

Red.

znanego i grozy, tego boga, którego żądzy zemsty złożono tyle ofiar. Jego miłosierdzie dla jego tworów każe długo na siebie czekać, a wieczne życie, które je odróżnia od zwierząt, czyni on dla swych tworów trudno osiągalnem.

Przez jak długie okresy czasu czekał on, zanim objawił ludziom, że powinni żywić dla siebie wzajemne uczucie miłości. Czy widzieliście człowieka, który wrócił z tamtego świata, żeby nam donieść prawdziwość życia pozagrobowego? Czy nie widzieliście, przeciwnie, jak ten niegdyś tak silny, tak pohopny do objawień, wymowny i hojnie szafujący cudami bóg staje się coraz bardziej milczący wobec objawień wiedzy? I czy nie widzicie, jak różne kościoły namiętnie zwalczają się nawzajem, usiłują w tonie wyniosłym i nieustępliwym dowodzić prawdziwości swoich niezliczonych dogmatów, tak, iż pokazuje się, jak prawdziwym jest pogląd, że istotnie można z łatwością wszystko twierdzić w dziedzinie, w której niemożliwością jest cokolwiek wiedzieć? Czy nie widzicie, że to jest dziedzina nie dającej się zgłębić metafizyki, w której chroniła się od niepamiętnych czasów wszelka niewiedza w swoich postaciach wielkich i wzniosłych, prostych i złożonych, zarówno, jak w swoich ekstazach, i w swojej obłudzie lub świętoszkostwie z jej marzeniami i pełnemi tajemniczości dogmatami? Wy wszyscy, którzy tu jesteście, jak sobie możecie wyobrazić t. zw. życie pozagrobowe inaczej, aniżeli w postaci majaków sennych, odnoszących się jedynie do teraźniejszego „ja“, poza którego granice nie potraficie wyjść?

W jakim okresie waszego życia chcielibyście zmartwychwstać? Czy zmartwychwstaniecie z waszemi wadami i ułomnościami, żeby je na nowo posiadać? Do czego to ma w takim razie służyć? Albo, czy stanie się to, przeciwnie, przez przeobrażanie ludzi w boskie i doskonałe istoty? Ale wtedy nie będziecie już sobą. Czy zaś wiecznie niezmienne życie doskonałych i wszechwiedzących ludzi nie jest równoznaczne z wiecznością, pełną ohydnej nudy? Widzę przed sobą cały rozwój ludzkości, zmieniający stopniowo treść widzeń starych proroków w te tyrańskie dogmaty, w te bezsensowne frazesy, oparte na obawie śmierci i piekła, w pustą gadaninę, która jest „jak miedź brząkająca albo cymbał brzmiący“. Zbadajcie uczciwie wasze sumienie, a sami uznacie, że ten sposób zasłużenia sobie na niebo jest z gruntu niemoralny, pomimo waszych dobrych uczynków.

Drogie dzieci i przyjaciele, sprobujcie wraz ze mną spojrzeć prawdzie w oczy z pokorą i skromnością, jaka przystoi naszej znikomej ludzkiej osobie przy poszukiwaniu prawdy. Nie możemy nic wiedzieć o racji istnienia świata, w którym żyjemy, ani o pierwszej przyczynie bytu, ani o jego ostatecznych celach; prawdziwa filozofja dowiodła tego już przed trzema tysiącami lat, nauka potwierdza to dziś. Poco zatem wynajdywać t. zw. osobistego stwórcę, któryby sam siebie stworzył, polegając jedynie na twierdzeniach ludzi z zamierzchłych czasów, oszukanych przez zmysły,—twierdzeniach, podanych w niewiarogodnych, lub bardzo wątpliwych wersjach i podaniach? Czy nie znaczy to oddawać się własnowolnie złudzeniom, na skutek słabości i jednocześnie z uwielbienia dla siebie samego, gdy się godzimy na to, aby dać się kołysać w marzeniach o życiu wiecznem?

Jako osobę znamy tylko człowieka. Wyobrażać sobie „boga nieogarnionego“ w ludzkiej postaci—znaczy to zadowalać się nonsensem, który obraża wszechświat. Jako małe dzieci, od urodzenia obraz naszych rodziców, nie zaś obraz zarozumiałego boga, weszliśmy wszyscy w świat pełen istot, które się nawzajem pożerają i męczą, w świat pełen cierpień, łez i bólu serca, pomiędzy dzikich i chciwych ludzi, ale jednocześnie—w świat życiodajnego słońca, w świat radości i kwiatów, miłości i poświęcenia, postępu wiedzy i sztuki, w świat, w którym rośnie poczucie odpowiedzialności społecznej jeżeli nie u wszystkich, to u wielu z pośród nas. Im stawaliśmy się starsi, tem czuliśmy się wolniejsi, nieprawdaż? Dlaczego? Dlatego, że coraz lepiej uświadamiamy sobie, jak coraz bardziej opanowujemy otaczającą nas przyrodę przy pomocy skomplikowanych sił, które się zebrały w naszym mózgu poza naszą świadomością, na skutek dziedzictwa po praojcach z przed miljonów lat. Obok cierpień mamy tę radość, że żyjemy, kochamy i rozmnażamy się. Przez nasze rozmnażanie się zaś stawiamy czoło śmierci, gdyż nasze dzieci stanowią przedłużenie naszego życia. To bezwątpienia jest prawdziwa znana nam rzeczywistość. Czy nie zaszczytniejszem jest pochodzić od zwierząt, które się stopniowo doskonaliły, i być synem ludzkości, dążącej do coraz wyższych ideałów, aniżeli uważać się za niski, zwyrodniały i śmieszny twór okrutnego boga, twór, obciążony grzechem pierworodnym, a pomimo to zmuszony prosić swojego stwórcę o łaskę? Co dorównywa niemocą temu bogu, który musi poświęcić własnego syna, żeby uratować swoje twory ze szponów złego ducha, z którym nigdy nie mógł sobie poradzić, gdyż zło ciągle istnieje? Będę napewno słyszał w trumnie, gdy płomienie ją ogarną, jak nasi wolnomyślni pastorzy protestują i oskarżają mnie, że spotwarzam ich naukę wiary, która według ich poglądów poszła z postępem. Usunęli oni piekło i złe duchy, nawet boskość Chrystusa; biblja nie jest już księgą objawienia. Wymyślili nawet objawienie postępu i rozwoju według Darwina. Wiara już nie oznacza przyjmowania czegoś za prawdę; jest ona, jak oni mówią, „wzlotem serca do boga“ i t. zw. uczucia religijne wstępują na miejsce przyjmowania starych dogmatów kościoła, jako wyrazu prawdy. Słyszę raz jeszcze ich piorunujące przemowy, które mają pokryć ich porażkę. Mam w żywej pamięci zręczną sztukę przekonywania i piorunujący głos takiego Franka Thomasa, gdy uderza w stół z okrzykiem: „Biblia“! Drogie dzieci, wszystko to brzmi pusto. Wyznania religijne istnieją i giną razem z wiarą w oddzielenie duszy od ciała, w życie wieczne i w osobowego boga. Odrzućcie tę wiarę i otwórzcie oczy!

Poza pięknie brzmiącemi frazesami pozostaje tylko jeszcze prawdziwa po ziemsku i ludzku pojęta religja społecznego dobra.

Czy zatem, drodzy przyjaciele, nasz obowiązek w życiu i wobec śmierci nie jest wyraźnie nakreślony od chwili, odkąd odważamy się spojrzeć prawdzie w oczy? „Jestem człowiekiem i nic ludzkiego nie może mi być obce“, powiedział już dawno przed Jezusem rzymski poeta Terencjusz. Nie leży bezwątpienia w naszej mocy usunięcie z ziemi pragnienia mordu u zwierząt, którego ostatecz-

nej przyczyny nie możemy zrozumieć. My sami wszak nie możemy żyć bez zabijania innych istot. Ponieważ w ten sposób natura zmusza nas do ograniczenia naszej moralności do ludzi i do tych zwierząt, które nam nie szkodzą, jest przeto naszą rzeczą, żeby własnemi siłami przezwyciężać zło przy pomocy dobra. Możemy to osiągnąć przez wytrwałość i wyrzeczenie się; postępy wiedzy i moralności społecznej dowodzą nam codzień, że w niedalekiej przyszłości osiągniemy cel. Solidarność ludzka nie jest już pustym dźwiękiem; od szczęścia ogółu zależy szczęście każdej jednostki, a od ofiarnej i bezinteresownej pracy każdej jednostki zależy szczęście ogółu. Czy nie czujecie wszyscy, że w naszej próżności i indywidualistycznej miłości własnej niedostatecznie cenimy dobrodziejstwa, które mamy do zawdzięczenia naszym przodkom, naszym poprzednikom? Dzięki ich czynom, ich potowi, ich krwi, pomimo wielokrotnych ich zwątpień o powodzeniu znienawidzonego i zelżonego dzieła, niejednokrotnie nawet karanego męczeństwem i paleniem na stosie, jest nam danem (zresztą najczęściej bez wdzięczności z naszej strony) cieszyć się dobrodziejstwami cywilizacji, która nas uwolniła od bojaźni, od głodu, od niektórych naszych zabobonów i od tylu innych cierpień i mąk czasów, które z prawdziwą ironją zwiemy „dawnemi i dobremi". Człowiek łatwo zapomina bóle przeszłości, żeby myśleć tylko o jej radościach. Jest to zapewne przyjemne, ale błędne i sprawia, że widzimy przeszłość w świetle złudnego mirażu. Okażmy zatem wolę i zdolność do wdzięczności względem rzeczywistych dobroczyńców ludzkości, i badaczy naukowych, którzy przygotowali za czasów naszych przodków grunt pod względne szczęście ludzkości, którem się dziś cieszymy. Nauczmy się jednak przedewszystkiem dorównywać tym dzielnym ludziom w naszej własnej, pełnej zapału i wytrwałości pracy i w prostocie naszego życia. Pogardzajmy tą nowoczesną egoistyczną i zarazem pesymistyczną filozofją, która chce się tylko cieszyć i żyć własnem życiem i nie troszczy się o dobro ogólne, dążąc jedynie i wyłącznie do rozwoju swojego drogiego „ja". Jest to choroba społeczna, którą należy przezwyciężyć. Niech każde z was, drogie dzieci, widzi swój najwyższy ideał i swój najdroższy obowiązek w tem, żeby dołożyć kamyk do społecznej budowy; będzie to pożyteczne i dobre przezwyciężenie się, którego żadne z was nie będzie żałowało. Potrzebny jest do tego niewzruszony optymizm. Głoszono chwałę śmierci chrześcijanina, który w zachwyceniu swojej wiary w to, że jednym susem może znaleźć się w niebie, cieszy się zgóry myślą o tej śmierci. Przeciwstawmy mu śmierć buddysty albo wolnomyśliciela, który, przejęty ideałem lepszej przyszłości rodzaju ludzkiego, wykrzykuje radośnie, wydając ostatnie tchnienie. Niech żyją szczęśliwie nasi potomkowie na podstawach coraz wyższego społecznego ideału pracy i poświęcenia dla Dobra na gruncie postępu nauki, prostoty obyczajów, trzeźwości, rozumnego doskonalenia rasy, pokoju, ogarniającego wszystkie narody ziemi, słowem—na gruncie tego wszystkiego, co zmierza do pomnożenia szczęcia, radości życia i społecznych uczuć: poświęcenia, obowiązku i miłości, jak również postępów naszego poznania wewnętrznego życia, naszych dzieci i ras ludzkich, dostępnych dla cywilizacji. Drogie dzieci, po raz ostatni błagam was, byście usiłowali zadać kłam wątpiącym, którzy twierdzą, że to są płody chorej wyobraźni. Dziedziczność jest faktem i możemy ją, bardzo powo[illegible] w biegu pokoleń na inne [illegible] hygieny indywidualnej i higjeny rasy, jak i odpowiedniego doboru naturalnego prawdziwych wartości ludzkich, skierowanych ku doskonaleniu dobra ogółu, doboru, który stanowi przeciwieństwo do obecnego doboru wartości ujemnych. Do tego potrzeba coraz bardziej gruntownego badania tych wartości, a przedewszystkiem badania mózgu, potrzeba dziecinnego usposobienia do radości życia, płynącej z serca, do pracy, do talentu, do naukowego i artystycznego genjuszu, do poświęcenia się dla bliźnich, do współczucia, do poczucia obowiązku. Wszystko to dziedziczy się jako skłonność i musimy nauczyć się mieć przy naszem rozmnażaniu się na oku cel płodzenia dzieci szczęśliwych, zdrowych, odczuwających radość pracy i pełnych uzdolnień. Miejmy wolę po temu, a zdołamy to osiągnąć, gdy ustaną wojny i będą usunięte napoje wyskokowe.

Pozwólcie mi powiedzieć jeszcze parę słów o mojem własnem życiu. Żyłem, jak wszystkie dzieci, z początku w miłości do siebie samego, do mojej matki i do mrówek. Byłem bardzo bojaźliwy. Matka uczyła mnie życzliwości dla ludzi, pracowitości i poczucia obowiązku. W te rzeczy wierzyłem.

Ale oprócz tego wychowała mnie w religji kalwińskiej, w którą bezskutecznie starałem się uwierzyć, gdyż od pierwszej chwili wywoływała we mnie opór. Ta religja była powodem, dla którego wobec mojej matki wyraziłem życzenie, żebym się nigdy nie był narodził, tak bardzo doprowadzała mnie do rozpaczy obawa piekła, które grozi niewierzącym. Mrówki nauczyły mnie pracy, zmysłu dla życia we wspólnocie i odrazy do próżnego i brutalnego egoizmu ludzkiego. Później pogodził mnie z życiem Darwin oraz naukowe ujęcie rozwoju gatunków, gdyż uwolniłem się ostatecznie od urojeń nieba, piekła i wieczności. Odmówiłem zresztą konfirmowania się. Później badanie mózgu normalnego człowieka oraz mózgu człowieka umysłowo chorego, a w następstwie zajmowanie się hypnotyzmem uświadomiły mnie co do prawdziwej psychologji człowieka i prawdy życia.

Moja ukochana Ema, moja wierna, dobra i oddana towarzyszka, niegasnący promień słońca w mojem życiu i w życiu moich dzieci, dała mi trwały przykład samozaparcia i wszechstronnej uczynności, obdarzyła mnie najcenniejszemi dobrami życia: miłością i optymizmem. Nie mogę wam wcale powiedzieć, ile zdolności do pracy i zaufania do życia zawdzięczam jej spokojnej, pełnej pogody miłości, jej niewzruszonemu oddaniu, jej odwadze, jej stanowczości i umiejętności rozumienia. Drogie dzieci, szczęściem jest być zrodzonym z takiej matki!

Wreszcie powstrzymywanie się od użycia alkoholu wskazało mi jeden z najlepszych sposobów, jak osiągnąć w krótkim stosunkowo czasie rozumne, ciągle postępujące naprzód uszlachetnienie naszej rasy, dzięki czemu nabrałem znów wiary w przyszłość ludzkości. Poświęciłem jej bez rachunku i bez zwątpienia wiele moich sił, ale zawdzięczam jej równie wiele, zarówno dla mnie, jak i dla moich najbliższych.

Doszedłem tedy do kresu pracowitego żywota, którego słabości, błędy, omyłki, upadki, smutki i utrapienia znam lepiej, niż ktokolwiek.

Straciłem dwoje ukochanych dzieci, z których byłem dumny i przy których śmierci żona moja dała mi najszlachetniejszy przykład opanowania i zrównoważenia, gdy mi znowu groziło poddanie się zwątpieniu i pesymizmowi. Na skutek ataku apoplektycznego, wywołanego przez skrzep w mózgu, musiałem się nauczyć samozaparcia, umiejętności wyrzekania się i przypomnieć sobie obowiązek każdego człowieka, by przygotować wszystko na wypadek śmierci — obowiązek, który aż nadto zaniedbałem w moim zapale do pracy. Ach! wiedziałem, że w wielu walkach moich o to, co życie wskazywało mi, jako mój obowiązek, zraziłem sobie wielu ludzi, którzy nie chcieli lub nie mogli mnie zrozumieć. O! wiedziałem, iż w wielu walkach o to, co na skutek poważnej pracy nad życiem uważałem za swój obowiążek, zraziłem sobie wielu, którzy nie chcieli, lub nie umieli mnie zrozumieć. Nie mam o to do nich urazy i przebaczam im z całego serca; postąpili zgodnie ze swoim sposobem bycia. Przyszłość pokaże, kto miał słuszność. Ale zyskałem także licznych przyjaciół, którym niniejszem wyrażam moje ostatnie podziękowanie. Niech mi wybaczą to, że ich zaniedbywałem.

Stałe przeciążenie, ponoszone w związku z nieustającemi wymogami życia, poświęconego wielorakim pracom, stawało mi zbyt często na przeszkodzie w okazywaniu im mojej głębokiej wdzięczności.

Pisałem powyższe słowa w roku 1912. Co mam dodać dziś, w sierpniu, 1921 r., postrasznych wojnach, które naprzód pogrążyły ludzkość w ogniu i we krwi i tem samem obnażyły przeraźliwą dzikość i namiętności naszych nienawiści? Mogę tylko dodać, że musimy zostać tembardziej silni i niewzruszeni w walce o ogólne dobro. Niech nasze dzieci nie pozwolą pozbawić się odwagi; przeciwnie, niech wykorzystają obecny zamęt wszechświatowy dla przyczynienia się moralnego do stworzenia podniosłego, ponadnarodowego ustroju ludzkości na gruncie ogólnego związku narodów.

Dopiero w roku 1920 poznałem w Karlsruhe ponadwyznaniową, wszechświatową religję Baha'i, założoną przez Persa Baha'u'llah przed siedemdziesięciu laty na Wschodzie. Jest to prawdziwa religja dobra ludzkiej społeczności, nie zna ona dogmatów, ani księży i łączy w jedno wszystkich ludzi, żyjących na tej kuli ziemskiej. Stałem się Baha'istą. Niech ta religja rozpowszechnia się i będzie uwieńczona powodzeniem—oto moje najgorętsze życzenia.

Czy teraz, kiedy moje życie ma się ku końcowi, mam je opłakiwać i przeklinać? Nie, napewno nie! Opuszczam je w spokoju, bez bólu, bez goryczy, bez obawy i w mocnej nadziei lepszego życia, nie dla mnie, lecz dla was, moi następcy. Uczyniłem, co mogłem, żeby dzięki mojej pracy i przy pomocy moich dzieci dorzucić kamyk do naszego społecznego gmachu i jedynem mojem zmartwieniem jest, że nie umiałem zdziałać lepiej i więcej. Wykonałem to, jak prosty i godny szacunku robotnik rolny lub budowlany. Od was, moje drogie dzieci' zależy możność przedłużenia mego życia. Pracujcie w spokoju z innymi ludźmi, waszymi braćmi. Umieram — umarłem w spokoju i pragnę dla moich popiołów tylko wiecznego spoczynku, nirwany, która ich oczekuje. Gdyby umarły mógł opłakiwać straty, serce moje krwawiłoby wobec faktu, że jestem nazawsze oddalony od tego, co kochałem. Ale popioły śpią snem wiecznym. Pamiętajcie o tem i myślcie o mnie tylko z pogodą i spokojem, tak, jak myślicie o moich mrówkach, moich książkach i o starych drzewach orzechowych w ogrodzie.

Ostatnie moje życzenie jest wiedzieć, że jesteście szczęśliwi i przejęci świętym zapałem dla coraz wyższego ideału ludzkości i że dla tego ideału walczycie.

Do was w szczególności zwraca się ta ostatnia prośba: Inez, Marto, Oskarze, Daisy, Lokit, Hugh, oraz mali: Wolfie, Liesel, Inez, Sven, Evelyn, Edouard, Stanley, Anno-Marjo, Yvonne-Miette, Armandzie, Cyrylu i Jürg. Pamiętajcie o tem, że należycie do szanowanych rodzin, na których można polegać, i starajcie się o to, żeby im przynieść zaszczyt. Do Ciebie, droga Emo, zwracam się z mojem ostatniem pożegnaniem, oraz słowami podzięki, których głębi nie potrafię wyrazić. Zawdzięczam Ci moje szczęście. Przebacz mi niezliczone szorstkości i brak cierpliwości, któremi tylokrotnie raniłem delikatność i czystość Twoich uczuć.

Przedewszystkiem nie płaczcie po mnie i nie noście żałoby ani na zewnątrz, ani w sercu. Bądźcie od dzisiejszego dnia wszyscy weseli; o ile to możliwe, zapomnijcie o moich wadach i ułomnościach i rozbudowujcie i poprawiajcie to, co zdołałem stworzyć pożytecznego. Niech każdy z was w miarę swoich zdolności dokłada swój kamyk do budowy lepszej i szczęśliwszej ludzkości.

My, umarli, nie możemy już zmienić przeszłości; wy żywi możecie inaczej ukształtować przyszłość. A zatem odwagi i do dzieła!

August Henryk Forel

przełożyła

Z. L.

Problem podniesienia kultury moralnej społeczeństwa

(Uwagi na temat dyskusji w „Ruchu Pedagogicznym")

Podstawą ustroju społecznego, w jakim żyjemy, jest, jak wszystkim wiadomo, indywidualna gospodarka, oparta na zysku i eksploatacji pracy człowieka przez człowieka. Podstawa ta wywiera wpływ znaczny na kształtowanie się poczucia moralnego społeczeństwa i jednostek. Moralność ta wiele pozostawiała do życzenia, to też jeszcze przed wojną z inicjatywy pedagogów angielskich, zgrupowanych dokoła osoby F. J. Goulda, wyszła inicjatywa organizowania międzynarodowych kongresów wychowania moralnego. W miarę postępującego rozkładu kapitalizmu, odory, jakie się wydobywają

z gnijącego jego trupa, zatruwają do tego stopnia atmosferę moralną, że zjawił się problem podniesienia kultury moralnej społeczeństwa; dlatego też wzmiankowane wyżej kongresy nie zostały przerwane, a pedagogowie rozwijają dyskusję na łamach swych pism teoretycznych, niekiedy nawet zabiorą względnie szczerze głos publicyści i politycy burżuazyjni w prasie ogólnej. Ostatni kongres wychowania moralnego odbył się u nas w Polsce w Krakowie w sierpniu 1934 r., a „Ruch Pedagogiczny", organ Związku Naucz. Polsk. problemowi podniesienia kultury moralnej społeczeństwa poświęcił kilka artykułów, zainicjowanych przez dr. K. Dąbrowskiego. Dyskusja ta, niestety, została już zamknięta, a że poruszone w niej zagadnienia są zbyt ważne i to nietylko dla nauczycieli, dlatego uważam za wskazane podzielić się swemi na ten temat uwagami przy pomocy „Wolnomyśliciela Polsk.", tembardziej, że „solidarystyczna" ideologja Zw. N. P. nie pozwoliłaby prawdopodobnie redakcji „Ruchu Pedag." na ich zamieszczenie. Za potrzebę dołączenia tych uwag przemawia ten wzgląd, jaki słusznie sprecyzował w jednem zdaniu w dyskusji dr. I. Kiken w nrze 7 „Ruchu Pedag.", że samo postawienie problemu zakłada, iż z moralną kulturą społeczeństwa jest krucho, bo gdyby ona stała na odpowiednim poziomie, nie byłoby problemu podnoszenia. A jednak pierwsza uwaga, jaka się nasuwa po przeczytaniu tych kilkudziesięciu stronic dyskusji na temat wychowania moralnego oraz sprawozdania z kongresu w Krakowie, może być wypowiedziana w aktualnem zawsze oświadczenie Fr. Alb. Langego, sławnego neokantysty i historyka filozofji materjalistycznej: „źle jest, gdy nie można wypowiedzieć całej prawdy", a dyskutującym zalecić słuszną dewizę Dela Mettriego w „Człowieku Maszynie", że „mędrcowi nie przystoi badać prawdy, powinien on ją wypowiedzieć".

Artykuły w „Ruchu Ped." dostatecznie:

1) nie poddały analizie wszystkich czynników celowego wychowania,

2) nie uwzględniły oddziaływania wychowawczego otoczenia i ścisłego związku pomiędzy ustrojem społeczno-gospodarczym, a kształtowaniem się moralności,

3) nie wskazały sprzeczności w wychowaniu szkoły i sprzeczności pomiędzy szkołą a życiem,

4) nie sprecyzowały zmienności kryterjów poczucia moralnego, zależnych od czasu i warunków geobiologicznych i gospodarczych, a stąd

5) nie mogły podać celowych środków zaradczych.

I

Jednym z czynników celowego wychowania jest religja, to też samo zjawienie się problemu podnoszenia kultury moralnej społeczeństwa dostatecznie charakteryzuje jej wartość wychowawczo-umoralniającą, reklamowaną przez kler jako „skarby nieskończonej wartości". Przecież chrześcijaństwo wychowuje Europę od dwóch tysięcy lat, mozaizm żydów blisko ze cztery, islam—półtora, szkoła polska od lat dwudziestu powoli zamienia się w kruchtę kościelną czy przedsionek plebanji, a dyskusja stwierdza, że „kultura moralna obniżyła się". Dyskutujący dotykają zlekka tego momentu uwagą, że kryterja moralne ulegają zmianom: inne w epoce odrodzenia, inne w oświeceniu przy jednych i niezmiennych prawdach kościoła. Już samo zestawienie zmienności kryterjów moralnych—zależnych od czasu, zdaniem autorów (a naszem i od innego ustosunkowania się sił w społeczeństwie)—z niezmiennością nauki kościoła nakazuje wyciągnąć wniosek, że te niezmienne prawdy i te „skarby wychowawcze o nieskończonej wartości" dla celów podniesienia moralności są przynajmniej obojętne, a więc zbyteczne. Wniosek taki nie został wyciągnięty. Sam inicjator dyskusji w „Ruchu Ped." dr. K. Dąbrowski posuwa się cokolwiek dalej, nie dotykając samych „skarbów", a tylko oceniając wartość ich przedstawicieli w podnoszeniu kultury moralnej społeczeństwa. Pisze on: „Jest szkodliwem dla kultury moralnej społeczeństwa tłumaczenie faktów małej wartości moralnej wielu duchownych (Macoch, Kopacz, Rejman — jedna grupa, bp. Dybowski, Łosiński w Kielcach—druga, prz. n.) tem, że są oni tem, czem jest społeczeństwo, które ich wydało. Rzeczywistość powinna nam dowieść, że duchowni stoją znacznie wyżej pod względem kultury moralnej od danego środowiska, aby mieć wpływ na podnoszenie jego kultury moralnej. W fakcie, że tak nie jest, należy między innemi szukać źródeł braku postępu moralnego społeczeństw mimo utrzymywania się i rozwoju instytucyj religiijnych („Ruch Ped." str. 115). A więc stwierdzenie jeszcze raz faktu, że rozwój instytucyj religijnych wywołuje równoległość obniżenia się moralności społecznej. Dr. K. Dąbrowski polemizuje z utartym komunałem klerykałów i innych księży, iż duchowieństwo jest takie, jakiem jest dane społeczeństwo. Teza ta szczególniej bywa wysuwana na odparcie zarzutu, jakoby jedną z przyczyn upadku Polski byli jezuici i kler wogóle, których się zestawia z jezuitami i klerem francuskim. Otóż ten argument kleru jest niezmiernie bezbożniczy, godny socjologa, ale nie teologa, i dr. Dąbrowskiemu można pośpieszyć z pomocą zwróceniem uwagi na naukę kościoła o łasce sakramentu: ciała i krwi pańskiej, który kapłani przyjmują codziennie, a który predystynuje przyjmujących do świętobliwego życia i kapłaństwa, i ma specjalnie uzdalniać kapłanów do szczytnego spełniania obowiązków swego posłannictwa, do których powołał ich w/g katechizmu sam duch święty. Argument kleru o zależności jednostki od społeczeństwa, słuszny naukowo, dyskwalifikuje naukę kleru o sakramentach i ogranicza wszechmoc bożą, jak również wystawia niepochlebne świadectwo metodom wychowawczym seminarjów duchownych. Właśnie na ten ostatni punkt zwraca uwagę dr. K. Dąbrowski i podsuwa duchownym zabójczą dla nich radę: zorganizowania przy seminarjach i wydziałach teologicznych specjalnych komisyj, składających się z profesorów psychologji i filozofji, które będą miały za zadanie oceniać wartość moralną adepta „sztuki kapłańskiej" i potem kandydata na księdza, bez zwracania uwagi „na jego spryt, umiejętność starania się o stanowisko i wdzięk" (Ruch Ped. str. 115). Dr. K. Dąbrowski, jako człowiek świecki, zgoła zapomina, że kandydat do seminarjum prosi najbliższego proboszcza o wydanie o nim opinji i to w zamkniętej

kopercie, przystępuje do spowiedzi przed wytrawnym prokuratorem seminarjum, który haczykowatemi pytaniami wydobędzie wszystko, co mu jest potrzebne, pozatem kleryk przed „wyświęceniem“ znajduje się pod najściślejszym dozorem i często zdarzają się tragedje z punktu ubiegającego się o godność kapłańską: usunięcie z seminarjów.

W doborze kleru niema przypadkowości, ale jest selekcja, a za niski stan moralności duchowieństwa odpowiadają jego zwierzchnicy — episkopat. Rada dra K. Dąbrowskiego jest zabójcza dla kleru i heretycka, bo sprzeczna z pismem „świętem“, które powiada: „Gdy nie możecie być mocni jako lwi, bądźcie chytrzy jako wężowie“. Chytrzy, to znaczy sprytni, a tutaj dr. Dąbrowski radzi, aby sprytnych dyskwalifikować, a moralnych powoływać. Przecież cała egzystencja kleru w zawikłanych dzisiejszych stosunkach przy postępie nauki i popularyzacji wiedzy, wzroście uświadomienia proletarjatu opiera się wyłącznie na sprycie, którego mu uczciwy człowiek bynajmniej nie zazdrości. Odebrać klerowi spryt i umoralnić go, to znaczy skazać go na wymarcie. Rada dra Dąbrowskiego jest dla kleru nie do przyjęcia, a dla społeczeństwa? Żeby się nie łudziło i wyciągało inne wnioski, niż nasza inteligencja.

Dotąd zostały omówione tylko punkty samej dyskusji. Należy zaznaczyć, że nasi uczeni, nauczycielstwo i społecznicy popełniają poza wymienionemi jeszcze ten błąd: oto wdają się w dyskusję na tematy naukowe z klerem i zapraszają go na zjazdy specjalistów. Uczony nie zna prawdy; on jej szuka, obserwuje fakty, szuka między niemi związku, stawia hypotezy, sprawdza je doświadczalnie i przy pomocy dedukcji wyrokuje wreszcie o stopniu prawdopodobieństwa, gdy ksiądz ma prawdę gotową, której obrona stanowi jego zadanie, tembardziej jeśli chodzi o moralność, to wyznaje pogląd, iż natura ludzka jest i będzie bardziej skłonna do złego, aniżeli do dobrego, nie mówiąc o tem, że co ksiądz dobrem nazywa, to człowiek XX wieku nazwie złem lub zbytecznem. Duchowni na zjazdach naukowych tylko utrudniają wymianę poglądów, gmatwają pojęcia i atakują każdą nową myśl. Tak było i na kongresie wychowania moralnego w Krakowie, gdzie księża zwalczali zasadę koedukacji. Nie należy się przeto dziwić, że i w artykułach „Ruchu Pedag.“ tak poważnego, a ujemnego czynnika wychowania, jakiem jest religja i wiara, nie dotknięto. Nikt nie zwrócił uwagi na skutki zaleceń nowych programów polskich szkół, gdzie nauczycielowi zabroniono nauczać w taki sposób, któryby mógł obudzić wątpliwości religijne, a jednocześnie zapomniano usunąć z bibljotek publicznych i prywatnych wszystkich dzieł i książek przyrodniczych lub historji nieoficjalnej, wogóle sprzecznych z nauką kościoła. Powtórzyć raz jeszcze należy, że kto chce dyskutować o podniesieniu kultury moralnej społeczeństwa, ten powinien dążyć do usunięcia z przed oczu młodzieży takich obrazków, jak: chęć zamordowania syna przez ojca, bratobójstwo, sprzedaż brata, oszukanie ojca, mordowanie ludzi, kazirodztwo i t. d. i t. d.

Gdzie jest mowa o tych zbrodniach? W książce, zwanej Starym Testamentem, która powinna być dostępna dla ludzi starszych, aby nie kalała serc młodzieży. Nikt wyraźnie nie wspomniał w dyskusji o szkodliwych dla moralności metodach kleru, jak: konspirowanie z dziećmi przeciwko rodzicom i nauczycielstwu, zalecanie dzieciom szpiegowania swoich kolegów i nauczycieli. Nikt nie zwrócił uwagi na tragedję rodziców niezależnie myślących oraz ich dzieci jak również nauczycielstwa, którzy a zwłaszcza dzieci, muszą świadomie kłamać przed księdzem, aby otrzymać dostateczną ocenę z „nauki“ religji, albo kartkę od spowiedzi. Nikt nie wspomniał w dyskusji o podnoszeniu kultury moralnej społeczeństwa, o torturach moralnych, jakie przeżywa bezwyznaniowiec, gdy z braku ślubów cywilnych musi kłamać przed księdzem na spowiedzi przedślubnej, albo kłamać, wysyłając kupionego człowieka po kartkę od spowiedzi i t. d. i t. d.

Artykuły „Ruchu Ped.“ na temat podnoszenia kultury moralnej społeczeństwa wykazują, że przy takiem argumentowaniu albo niektórym uczonym trudno wypowiedzieć całą prawdę, ze względów od nich niezależnych, albo też tematu dostatecznie nie przemyśleli, albo ich mentalność jest taka, że niezależne od dogmatu i wolne od przesądów społeczeństwo niczego się po nich nie może spodziewać.

II

Religja, przymusowo narzucana w szkole i w życiu publicznem, narzucana w życiu prywatnem, stanowi tylko jeden z czynników wychowania, a więc oddziaływania na moralność. Z punktu widzenia integralnej moralności istnienie jakichkolwiek armij i ich skoszarowanie jest niemoralne, a tembardziej zalecanie religijności w wojsku. Jak można pogodzić nakaz Chrystusa o wszechmiłości z dzierżeniem w dłoni karabinu lub z obsługiwaniem armaty?

Oprócz wojska czynnikiem celowego wychowania jest szkoła, do której mimo wszystkie zapory i okiennice wdziera się promień krytycznej myśli. Wzrasta literatura pedagogiczna, udoskonalają się metody, często chybione wobec katastrofy szkolnej. Nauczycielstwo samorzutnie pogłębia i rozszerza swe wiadomości, wielu nauczycieli szkół średnich wykłada na wyższych zakładach naukowych, wpośród nauczycielstwa szkół powszechnych poważny odsetek stanowią ludzie z wyższem wykształceniem, a—jednocześnie wzrasta nad niem nadzór władzy. Jako skutek tego wyścigu pracy: zjawienie się problemu podnoszenia kultury moralnej społeczeństwa—a wobec tego należy zrewidować wychowawcze oddziaływanie szkoły, jej metody i cele, zestawić jej usiłowania z życiem. Dzisiejsza szkoła wikła się w sprzecznościach i pozostaje pozatem w sprzeczności z życiem. Wpływ religji w szkole został omówiony wyżej. Szkoła szerzy szowinizm narodowy, militaryzm, ale zaleca współdziałanie (samopomoc koleżeńska, samorząd) mówienie prawdy, uczciwość, bohaterstwo i to nietylko militarne (Pasteur, Skłodowska Curie, Edison), poszanowanie dobra i t. d. i t. d., a tymczasem inteligentne dziecko dostrzega w życiu kłamstwo, które popłaca, walkę zażartą o byt, brutalną przemoc i t. p.

Pozostaje rodzina i otoczenie socjalne i naturalne. Momenty te uwzględniają dyskutujący, podkreślają, że krzywda socjalna wywołuje żywą reakcję, podczas gdy nieszczęście z przyczyn biologicznych inaczej jest pojmowane; mimo to mówi się w artykułach o moralności na płaszczyźnie indywidualnej a nie uwzględnia się wiedzy socjologicznej, ekonomji politycznej, niesfałszowanej historji. Zawodowym nauczycielom znanemi są braki dzieci, wynikające z niedostatecznego przetrawienia materjału nauczania i powiązania oraz zastosowania wiadomości: dziecko na lekcji geografji wyrecytuje je, np. o Ameryce, a zapytane na rachunkach z trudem je sobie przypomni; ale zjawisko to dostrzegamy i u uczonych doktorów: gdy mowa na temat gospodarczy—rozróżnia się psychikę klas, gdy mowa o moralności, o przekroju pionowym społeczeństwa— cicho; zawodowi pedagogowie zapomnieli również o pedagogice Pestallozziego, Roberta Owena, wolnomyśliciela, zalecającej konieczność umoralnienia środowiska, jako warunku sine qua non do umoralnienia jednostki i podniesienia kultury.

W jakiej atmosferze moralnej wychowuje ludzi handel od drobnego przekupnia poczynając, a na rekinach kapitału kończąc, wypowiedział Karol Fourier, zbytecznie przeto powtarzać. Ci ludzie są swoiście „moralni“.

Moralność, jak słusznie powiada Hessen, nie jest sama w sobie celem, a tylko środkiem, gdyż w przeciwnym razie przemienia się w faryzejską obłudę i oto zarówno uczestnicy kongresów międzynarodowego wychowania jak autorzy artykułów w „Ruchu Pedagogicznym“ celu tego wyraźnie nie wskazują. Dzisiaj pokutuje frazes rozwoju osobowości (przy religji i w ustroju faszystowskim!!). Innym wystarcza państwo. Ci ostatni znajdują się w kłopocie przy zapytaniu, co rozumieją pod tym wyrazem. Prawo, terytorjum, żywych ludzi i ich większość? Ale państwo nie jest celem w sobie samym zamkniętym, a tylko środkiem. Z punktu widzenia teorji Marksa i jego uczniów dzisiejsze państwo kapitalistyczne jest politycznym referatem burżuazji do legalnego zabierania pracującym nadwartości, państwo to występuje dzisiaj w najjaskrawszych konturach w ustroju faszystowskim, w którym właściwie zamienia się w zorganizowany spisek gloryfikowanych kryminalistów, gnębiących nietylko proletarjat, ale i niezgangrenowaną część drobnomieszczaństwa. Zbrodnie tych kryminalistów są tak potworne i powszechne, że stanowią powszechny temat „nocnych rodaków rozmów“, co chyba „odpowiednio podnosi kulturę moralną społeczeństwa“. Dzień 30 czerwca 1934 r. w Niemczech, zabójstwo Matteotiego we Włoszech, krwawy popielec 1934 r. w Wiedniu, stłumienie powstania w Katalonji i Asturji to były czyny zbyt głośnie, aby uszły powszechnej uwagi i nie pozostawiły śladów „odpowiednio podnoszących kulturę moralną społeczeństwa“.

Dzisiaj nawet zatruwany przez kler analfabeta rozumie, że siła panuje przed prawem, że oszustwo w jakiejkolwiek formie uznawane jest za wyraz zdolności, a nawet przeciętny czytelnik beletrystyki ze zdumieniem przeciera oczy przy peanach pochwalnych niektórych autorów na cześć pały. Każdy zaś, komu obce są ideały humanitaryzmu, dzisiaj jedynie reprezentowane przez socjalizm i jego lewe skrzydło, nie widzi celu życia wobec załamania się indywidualnej gospodarki. Można się było nim łudzić w epoce Adama Smitha czy nawet „prosperity“ w Stanach, ale dzisiaj należy on do bezpowrotnej przeszłości. Brak celu ujemnie wpływa na kształtowanie się moralności.

Jednym ze środków zdrowia moralnego jest praca. Praca, którą się rozumie, praca, która wywołuje przyjemne uczucia, nie wyczerpuje zdrowia, dzisiaj jak najbardziej krótka. Mówić dzisiaj o... pracy, gdy na świecie czterdzieści miljonów rodzin na nią oczekuje, zakrawa na kpiny z ludzkiego nieszczęścia, mówić dzisiaj o pracy przyjemnej przy tendencjach kapitalistów do zamienienia człowieka w maszynę, przy łamaniu ustaw o odpoczynku, przy niszczeniu przez syndykaty, kartele i tresty warsztatów pracy — jest czemś podobnem. Nic też dziwnego, że kongresy wychowania moralnego zajmują się słuszną, ale bodaj nie najważniejszą sprawą wychowania—koedukacją, a nie dotykają zasadniczych, a i w prasie pedagogicznej zagadnienia te są tylko powierzchownie poruszane. Prasa pedagogiczna składa się z wydawnictw urzędowych: „Szkoła i wychowanie“, organ teoretyczny Min. W. R. i O. P., zaliczyć można doń „sanacyjny” „Zrąb”, następnie wydawnictwa Zw. N. P. (również „sanacyjne“) i chadeckie. Socjalizm polski nie posiadał takiego np. „Die Sozialistische Erziehung“ w Wiedniu, albo „Unsere Bildung“ w Berlinie. Lukę tę zastępuje „Robotnik”, poniekąd „Wolnomyśliciel”, ostatnio „Miesięcznik Nauczycielski”.

Brak celu, brak najważniejszego warunku do zdrowia moralnego, wzajemna nieufność narodów, państw, zaostrzenie się walki klasowej, cynizm zwycięzców, tolerowanie prostytucji—tego wykwitu i ofiary kapitalistycznej gospodarki, zaciskanie obcęgów nad krytyczną myślą, niewspółmierność w karaniu złodziejstw miljonowych i groszowych oraz przestępstw politycznych wywracają współczesną moralność, którą chcąc uzdrowić, trzeba sięgnąć do źródła zła — do ustroju społeczno-gospodarczego i uznać, że się on dawno przeżył i gnije, a trupa należy spalić, albo, jak chce kościół, pogrzebać. W każdym razie na powierzchni ziemi znajdować się on już nie powinien!

III

Jeden z autorów dyskusji w „Ruchu Ped.”, klasyfikując moralność, szuka przyczyn fizjologicznych i psychicznych. Podział zupełnie słuszny, naukowy a nie teologiczny, ale nie wystarczający. Sławny niegdyś humorysta „Kurjera Porannego”, Teofil Modrzejewski szydził z kamienicznika, który po wysłuchaniu mszy świętej i odśpiewaniu godzinek po śniadaniu, składającem się z herbaty z sokiem i sucharków z konfiturami, po drugiem, składającem się z sardynek, plasterka łososia, koniaku i czarnej kawy, a następnie obiadu z zupy rybnej, szczupaka po żydowsku i sandacza smażonego, jako że było to w wielkim poście, oburzył się, gdy o godzinie pierwszej zobaczył swojego stróża, zapychającego się kiszką kaszaną. Z punktu widzenia kamienicznika—on sam był pobożny i moralny, stróż niepobożny i niemoralny. Ten sam kamienicznik, raz ilustrowany w „Musze”, wybiera się do augustjanów na wotywę i zaleca stróżowi, aby, gdy przyjdzie komornik, pomógł w wyrzuceniu na bruk bezrobot-

nego z rodziną. I znowuż kamienicznik ten jest w myśl zasad kapitalistycznych moralny, ale w kim kapitalizm nie zagłuszył sumienia—jest niemoralny, jest to pasorzyt, pijawka i człowiek bez serca. Spalenie tysięcy kwintali pszenicy, zatopienie setek winogron, jagniąt, cieląt, premja za nieobsianie pól, dumping zagraniczny przy wyśrubowaniu cen wewnątrz kraju są to czyny „moralne", kalkulujące się ale tylko dla kapitalisty, gdy dla człowieka — okrutne.

Filantropja, różne obozy pracy—dla kapitalisty dzieła moralne i wzniosłe, dla robotnika upokarzające i niemoralne.

Każda klasa społeczna posiada swoją własną moralność, sprzeczną z moralnością klasy innej, gdy chodzi o zagadnienia ogólne. Dla ludzi pracy — robotników umysłowych i fizycznych, jeśli chodzi o moralność, to pozostaje do rozstrzygnięcia takie zagadnienie: co jest bardziej moralne, czy z psią pokorą czekać łaski pańskiej i cieszyć się rzucanemi z pańskiego stołu ochłapami, czy też zewrzeć własne siły, uaktywnić je i usunąć zło zasadnicze—przeżyty ustrój gospodarczy?

W dzisiejszych warunkach, gdy światu grozi powszechne zdziczenie, gdy najbardziej szlachetni, odważni giną w obozach koncentracyjnych, w więzieniach, na zesłaniu, a w krajach ukrytego faszyzmu są pozbawieni środków egzystencji, skąd masa zmuszona jest do kłamania, obłudy, bezmyślności i w takim kierunku wychowuje młodzież, dzisiaj problem podniesienia kultury moralnej społeczeństwa wymaga przedewszystkiem jednej tylko odpowiedzi, wyżej postawionej—jak usunąć kapitalizm? Jakakolwiek z nim walka jest czynem moralnym i celem, który właśnie moralność podnosi, a o walce takiej powiedział poeta, że... „dzieło z n i s z c z e n i a w dobrej sprawie jest równie święte, jak dzieło tworzenia".

M. Kotwica

Podnóżki „narodowej" chwały Einsteina i Freuda

(Nauczka pod adresem p. J. Appenszlaka e t c o n s o r t e s)

I.

Pan Appenszlak opisuje wrażenia swoje z podróży po Palestynie. Przy tej sposobności daje wyraz swojej „rodowej" dumie, narzekając na wyciągnięte po jego kuferek na przystani „brudne łapy tragarza-araba" i zapominając przytem, jak gniewa go podobny ryczałt pod adresem „rytualnie czystych rąk tragarza-izraelity w Polonji" — fe! to niedemokratyczne, panie Appenszlak. Równocześnie opowiada cuda o święcie „Purym" w Tel-Awiwie, którego [illegible] pono piękno uroczystości karnawałowych w Nicei i rozmach rzymskich saturnalij za czasów cezarów — słowem, wszelkie obchody świąteczne od początku świata aż do dnia dzisiejszego. Wreszcie popada w zachwyt na widok żyda pijanego na ulicy, gdyż pono żaden żyd nigdy nie upił się w „diasporze", t. j. na ziemi wygnania, w Europie, i do wesela pijanego niezbędną mu była założona w Palestynie nowoczesna „siedziba narodowa". Ale o to wszystko mniejsza.

Jednakże p. Appenszlak jest zarazem recenzentem teatralnym „Naszego Przeglądu" w Warszawie. Oczywiście, i tego nie można mu brać za złe. Pan Appenszlak potrafi pisać ładnie i recenzje jego nie są ani gorsze, ani lepsze, niż przeciętne recenzje teatralne w pismach „rdzennie polskich". To jest jednak złe, że p. Appenszlak zdobi swoje recenzje imionami Einsteina i Freuda—czego gdzieindziej się nie spotyka, jako że podług milczącej zmowy przepisanem jest w pewnego rodzaju pismach przy każdej okazji robić reklamę uczonym, pochodzenia rasowo-żydowskiego gwoli chwale narodowej. Ale i to jeszcze zniósłby można, jako zabawny objaw „próżności narodowej", gdyby objaw ten nie łączył się z tworzeniem okoliczności, wyciąganych za włosy na rzecz dumy narodowej, oraz z kompletną ignorancją, gdy chodzi o znajomość teoryj tak natrętnie sławionych wielkości świata naukowego,... gdyby wreszcie tego rodzaju podnóżki tronów w świecie naukowym nie były w tych warunkach tumanieniem i dezorjentowaniem opinji publicznej co do stanowiska owych teoretyków przed trybunałem krytyki naukowej. A właśnie to ostatnie karygodne szkodnictwo zniewala nas do lekkiego trzepnięcia po palcach recenzenta „Naszego Przeglądu", jako symbolu ogromnej rzeszy szkodników tego samego gatunku na tle próżności narodowej — od której sprawy nauki winny stać zdaleka—i nieuctwa, któremu zasię do reklamowania ludzi nauki, jakąkolwiek okaże się wartość ich teoryj w obliczu przyszłości i sądów poważnej wiedzy naukowej, zainteresowanej kwestją p r a w d y, a nie chlubą stad ludzkich tego, czy owego wyznania, lub rasy.

Rozbiór dwóch recenzyj p. Appenszlaka, umieszczonych w Nr. 168 „Naszego Przeglądu" (z dnia 15 czerwca) a dotyczący wystawionego w „Teatrze Aktora" „C h o r e g o z u r o j e n i a" Moljera i w „Teatrze Nowym" „S z e s n a s t o l a t k i", przełożonej z angielskiego komedji Stuartów — stanowić będzie świetną ilustrację postawionych przez nas wyżej tez.

Szumnie rozpoczyna się recenzja p. Appenszlaka o „Chorym z urojenia" — od słów:

„Genjalna teorja Einsteina sprawdza się nietylko w przestrzeniach kosmicznych: słuszność jej wyświetla się wszędzie, nawet na malowanych kulisach teatru. Każda rzecz prócz trzech wymiarów ma jeszcze swój czas".

Pytanie: po co recenzent przywlókł tutaj „genjalną teorję Einsteina, sprawdzającą się nietylko w przestrzeniach kosmicznych?

Pozostawiając narazie na boku kwestję, co mówi właściwie Einstein, zbadajmy walory myślowe recenzenta, aby ocenić, czy posiada on wogóle prawo do powoływania się na autorytety naukowe.

Ponieważ „każda rzecz ma swój czas“, tedy— zdaniem p. Appenszlaka — komedja Moljera, zwalczająca medycynę scholastyczną, mogła mieć wartość przed trzystu laty,—dzisiaj—wobec olbrzymich postępów współczesnej medycyny, a zwłaszcza chirurgji XIX i XX wieku, jest... przestarzałą. Panu Appenszlakowi nie trafiają do przekonania argumenty, że „Moljer zwalczał tylko scholastyczną medycynę, opierającą się głównie na puszczaniu krwi i lewatywach“. „Po cóż—woła w zapale—upiększać okolicznościami łagodzącemi fakt, który wydaje się bezspornym, że wielki Moljer poprostu nie wierzył w medycynę i lekarzy“. Jego buntownicza na swój czas komedja „straciła cechę aktualności“ — „nie wydaje się nam słuszna“, jego satyra nie może „wywołać sympatji współczesnego widza“.

Że może dziać się akurat inaczej, dowodzi tego choćby wysoce trafne ujęcie tego widowiska w recenzji Słonimskiego, który pisze całkiem rzeczowo:

„Chory z urojenia—to nie walka z medycyną, czy choćby tylko z lekarzami. To walka z nieuctwem, walka z szalbierstwem i bufonadą, to budzenie mądrego sceptycyzmu wobec zarozumialców wiedzy, nieopartej na znajomości natury. Moljer dał szczutka w nos nadętym ignorantom. Moljer uderzał w walącą się już starą medycynę. Moljer był sprzymierzeńcem nowej nauki i sceptycyzm jego był twórczy. W tej genjalnej komedji wszystko kipi pełnem i nieśmiertelnem życiem“.

Co tu nie trafia do przekonania p. Appenszlakowi? Gdzież on znajdzie, u licha, takich idjotów — widzów, którzy, spoglądając na uperukowanych lekarzy z przed trzystu lat, leczących tylko lewatywą i puszczaniem krwi, pomyślą, że jest to napad autora na cuda współczesnej chirurgji. Więc dlatego, że d z i ś istnieją operacje z zastosowaniem środków aseptyki i antyseptyki, nie znajdzie zrozumienia i nie pozyska sobie sympatji widza historyczna komedja, malująca czasy, gdy absolutni nieucy skracali ludziom życie, jak np. Gassendiemu, któremu puszczono 40 razy krew... aż naskutek tej końskiej kuracji „wyzionął ducha“?! Bo pan App. sądzi, że widzowi dzisiejszemu należy się tylko „satyra na Kasę chorych... lecz nie na samą istotę medycyny“. Pan A. widocznie nie odróżnia lewatywy w końskich porcjach od istoty medycyny.

Ale p. A. ma jeszcze dar zapominania przy pisaniu, co napisał pięć minut temu — bo o parę wierszy dalej czytamy o tejże komedji Moljera:

„Mieni się przed oczyma naszemi rozmaitość charakterów... Zdumiewa nas impet tej satyry, tego naśmiewania się z typów pokracznych, z nadętej pychy zawodowców“. A o jednej ze scen czytamy: „b ę d z i e o n a z a w s z e s t a n o w i ć j e d n o z n a j w i ę k s z y c h a r c y d z i e ł k o m i z m u“. Słyszycie: zawsze!

Cóż więc stało się z tezą, że „każda rzecz ma swój czas“, że arcydzieło Moljera zestarzało się. Ba! potrzeba było nagwałt wtrącić „genjalną teorję Einsteina“.

Pomijamy fakt, że ludzi drwiących z medycyny — nawet współczesnej — nigdy nie zbraknie, gdyż przy najwyższych postępach medycyny istnieją zawsze niezadowoleni pacjencji i... zdarzają się zawsze szarlatani obok uczciwych medyków,—nieprzymierzając, blagierzy psychoanalizy, wyzyskujący kieszenie naiwnych opowiadaczy swoich głupich snów, które rzekomo odcyfrowuje genjalny „lekarz — freudysta“. Ale recenzent teatralny, mający pretensje do znajomości sztuki, a stawiający na czele swej recenzji, zasadę: „każda rzecz ma swój czas“—zdradza samą istotę sztuki, gdyż nie pamięta o nieśmiertelności arcydzieł Homera, Szekspira, Praksytelesa, Michała Anioła, Rafaela i... Moljera!

II.

Ale „po kiego licha“ p, Appenszlak dla poparcia tak błędnej recenzji powołał na świadka Einsteina z jego „genjalną teorją“?

Wszakże, że „każda rzecz ma swój czas“ — to „stoi“ wyraźnie, jak wół, już w „kaznodziei Salomonowym“ (Roz. III wers. 1) i nie było potrzeby laurami mądrego króla Salomona wzbogacać świeżoupieczoną sławę Einsteina i popisywać się własną uczonością w tym przedmiocie.

Czy to genjusz Einsteina wzbogacił wiedzę naszą dodatkiem, że „każda rzecz ma trzy wymiary?“—ależ o tem chyba wiedziano już na wiele wieków przed Euklidesem. Że ciała mają trzy wymiary, a każde zjawisko odbywa się w pewnym czasie — nie jest to chyba „genjalna teorja Einsteina“. Czy panu Appenszlakowi chciało się stwierdzić za pomocą Einsteina, że aktorzy na scenie teatru warszawskiego mieli trzy wymiary i że komedja Moljera napisana była w czasach Ludwika XIV? Bo to jest właśnie to, co sprawdził pan Appenszlak na malowanych kulisach, podobnie jak w przestrzeniach kosmicznych. Czy postrzegacie, jakie banalności mówi się, aby tylko przyciągnąć na gwałt imię Einsteina? Pan Appenszlak słyszał dzwony... w synagodze — rzecz nieco dziwna!

Czy panu Appenszlakowi chodzi o formuły matematyczne, w których używa się dla określenia zjawiska oprócz trzech wymiarów przestrzennych jeszcze wymiaru czwartego — czasu? Ależ odnośna formuła należy do Maxwella, nie do Einsteina— a są matematycy dużej miary, którzy konstatują nadużycie tej formuły przez Einsteina i przeprowadzenie absurdów pod postacią $0.5=0,3$, ergo $5=3$. (Prof. Georg Wendel: „35 Thesen wider die Einsteinsche Relativitätstheorie“, twierdzący, że „teorję Einsteina można brać tylko w sensie humorystycznym“). Jeżeli chodzi o pewne sprawy powszednie, to byle naczelnik ruchu kolejowego układa taryfy jazdy, biorąc pod uwagą zarówno długość drogi (przestrzeni), jak i prędkość ruchu (czas.). Jeżeli chodzi o użycie dla czasu—obok wymiarów przestrzennych— symbolu matematycznego: pierwiastka kwadratowego z minus jedynki—to tu Einstein jest dłużnikiem Minkowskiego, ale oni obaj raczej zapożyczyli to określenie od Palagyi, który dzieło swoje „Wurzel aus minus eins“ ogłosił już w r. 1901, gdy odnośne prace Minkowskiego i Einsteina ukazały się w kilka lat później (1905 — 1907). Jeżeli jednak chodzi o całkowite stopienie pojęć czasu i przestrzeni. uprawiane przez tych ostatnich, to przeciw temu ostro występują filozofowie i fizycy, między innemi znakomity uczony lipski, dr. Hans Driesch (w „Relativitätstheorie und Weltanschauung,“ rok 1930), który filozofję Einsteina położył na obie łopatki.

Ciekawym, jakie oczy zrobiłby p. Appenszlak, gdyby dowiedział się, że ten, na którego powołuje

się na dowód, iż każda rzecz ma swoje trzy wymiary i swój czas, właściwie neguje wartości miar przestrzennych i czasowych. Niedarmo Laue, uczeń Einsteina, opierając się na teorji swego mistrza, Einsteina, o względności czasu, dowodzi, że przyczyna może być poprzedzona przez skutek. Wszakże dla „genjalnego" Einsteina w jednym i tym samym czasie—w zależności od stanu spoczynku, lub ruchu, mogą trwać rozmaite czasy. Komentator Einsteina dr. Frycz Beer, posuwa się aż tak daleko, iż twierdzi, że dwaj bliźniacy, którzy rozstali się na pewien czas—bo jeden został na ziemi, a drugi odbył podróż międzyplanetarną, — skonstatują przy spotkaniu się ponownem, że „zegarek każdego (!) spóźnia się względem zegarka drugiego"! I podobnym nonsensom, wypisywanym przez swego biografa Moszkowskiego, równocześnie zbieracza anegdotek żydowskich, błogosławi z całą powagą sam wielki Einstein, pasowany przez Moszkowskiego na Galileusza, Newtona i Kopernika w sumie, odkrywającego rzeczy, które „będą miały wartość w nauce na tysiąc lat". Czy pan Appenszlak sprawdził na „Chorym z urojenia" różnice zegarków stojącego i chodzącego aktorów, że popadł w taki zachwyt nad genjuszem Einsteina?

Panu Appenszlakowi wydaje się, że teorja Einsteina „sprawdziła się w przestrzeniach planetarnych", bo nie wie on o tem, że sprawa obrotu pewnego punktu przysłonecznego w orbicie Merkurego (perihelium) wciąż jeszcze nie jest rozstrzygniętą przez doświadczenia, że rachuby Einsteina wykazują wciąż jeszcze tylko przybliżoną zgodność z obserwacją (różnica, wynosząca 42 sekundy łuku nie jest wytłomaczona i sama liczba teoretyczna jest niepewna), że wreszcie takie same przybliżenie uzyskane zostało na podstawie mechaniki Galileusza i praw astronomicznych Newtona, których Einstein rzekomo pobił tak samo, jak teorję obrotu ziemi koło słońca podług Kopernika, wskrzeszając z dziecinną zarozumiałością prastare a błędne poglądy Ptolomeusza.

Otóż panowie z „Naszego Przeglądu", różni Appenszlakowie, nigdy nie informują publiczności o tem, że przeciw „przewrotowym teorjom Einsteina" istnieje zdawna zaczęta opozycja uczonych: filozofów, fizyków, matematyków, astronomów, których argumenty sam Einstein stale przemilcza, których dzieła bojkotuje zawzięcie prasa, życzliwa Einsteinowi, którego z tego względu Dr. Arvid Reuterdahl nazywa „Barnamem reklamy". Ignoranci, nie mający zielonego pojęcia o istocie teorji Einsteina, wynoszą go pod niebiosa, ale nie raczą nigdy imponować publiczności o tem, że w roku 1931 (na szczęście jeszcze przed regimem hitlerowskim) pojawiła się w Lipsku książka p. t. „Hundert Autoren gegen Einstein", gdzie stu uczonych dowodami matematycznemi, fizycznemi, astronomicznemi, filozoficznemi, podważa wartość tej teorji, twierdząc, że „nigdy jeszcze w dziejach nie ogłupiono swiata podobnie absurdalną teorją, która, gdyby nawet była prawdziwą, dostarczyłaby pewnych drobnych różnic i faktów, posiadających jak najmniejsze znaczenie dla szerokiego ogółu". Stąd ustawiczne popularyzowanie imienia Einsteina w związku ze słóweczkami „względność prawdy", znanem już Protagorasowi — jest karygodną zabawą, kpiną ze zdrowego rozumu, ogłupianiem tłumów. Książki owej niepodobna przecie traktować, jako objawu antysemityzmu—jak chcą ignoranci, zainteresowani w rozdymaniu „narodowej chwały", skoro śród autorów, przeciwnych teorji Einsteina, figurują uczeni, dalecy od niechęci rasowej względem żydów, a na czele wydawców—wymieniony jest dr. Hans Izrael, który stwierdza zapomocą matematycznych argumentów, że „błędność rachub Einsteina poprostu wywoływać winna zdumienie".

A wszystkie te zachwyty, narzucane ogółowi, niemającemu pojęcia o tem, co właściwie twierdzi Einstein—jak nie ma o tem pojęcia jego chwalca p. Appenszlak — pochodzą stąd, że Einstein otrzymał rzekomo nagrodę Nobla za teorję względności. Albowiem prasa nie raczyła dotąd poinformować publiczności, że Einstein otrzymał nagrodę Nobla w r. 1917 za „prawo foto-elektrycznego efektu", że tuż zaraz potem nastąpił skandal: amerykański fizyk Millikan w dziele o „Elektronie" dowiódł, że nagrodzone prawo Einsteina jest fałszywem, poczem Einstein znalazł się w kłopocie, z którego wybawił się na swój sposób: oto zobowiązany do wygłoszenia podług ustawy o premji Nobla odczytu publicznego na temat nagrodzonej pracy, a nie mogąc wygłosić prelekcji o zdyskredtowanem prawie... wygłosił referat o teorji względności. Stąd powstała legenda, że ta teorja, która nie ma dotąd ustalonego kredytu w nauce, a którą—gdy przejdzie hipnoza reklamy—świat odrzuci, jako nonsens, — zyskała Einsteinowi nagrodę Nobla *).

Otóż wydało się nam słusznem złapać na gorącym uczynku owo robienie sławy „genialnej teorji Einsteina" zapomocą szumnego, a w gruncie rzeczy głupiego frazesu, że Einstein dowiódł, iż „każda rzecz prócz trzech wymiarów, ma swój czas"!...

III.

Z drugą sztuką, omówioną przez p. Appenszlaka na dwóch szpaltach „Szesnastolatką", p. A. Słonimski—z którego sądem i w tym wypadku, jako rzeczowym, musimy się zgodzić—rozprawia się w paru wierszach, jako z „długą i monotonną historją o tem, czy Irena Lawrence ma dostać na przeczyszczenie, czy nie ma dostać na przeczyszczenie". Treścią tej komedji angielskiej jest to, że mała Irena okropnie zasmuciła się, podpatrzywszy przypadkiem matkęwdowę, całującą się z obcym mężczyzną i gotowa była stanąć matce na przeszkodzie w jej poszukiwaniu szczęścia w nowem małżeństwie. Ale na szczęście, zjawił się doktór i wyjaśnił małej, że wyidealizowany przez nią jej ojciec był birbantem i pijakiem, poczem mała Irena dała mamusi pozwolenie na zawarcie nowych ślubów. Oto i wszystko. Słonimski słusznie zauważa, że „szkoda, iż małej nie dano na przeczyszczenie" — rzecz skończyłaby się w pierwszym akcie równie szczęśliwie.

Panu Appenszlakowi to nie wystarcza. Podob-

---

*) W jednym z najbliższych numerów omówimy książkę: „Stu autorów przeciw Einstainowi" i wykażemy opaczność teorji, która utrzymuje, że jedynym absolutem jest prędkość światła, a czas i przestrzeń posiadają wymiary względne i zmienne, a nie dowidzi, że prędkość światła 300000 kilometrów na sekundę opiera się przecie na mierze metra i sekundy! Prędkość jest drogą, dzieloną przez czas.

Red.

nie, jak z okazji „Chorego z urojenia“ popisał się swoją „znajomością“ genialnej teorji Einsteina, tak obecnie szuka okazji do popisania się swoją znajomością teorji psychoanalizy i zrobienia sławy dodatkowej innemu laureatowi Nobla, Freudowi. Chodzi bowiem znowu o przyczynek do dumy rasowej Izraela. O Edissonie, Marconim, pani Curie—nigdy nie przyszłoby na myśl p. Appenszlakowi pisać w recenzjach teatralnych. Ale tu chodzi o Freuda, który w świeżo wyszłem pod redakcją p. Bychowskiego fundamentalnem dziele o „Psychoanalizie“ oznajmia światu, że „jeżeli kobiecie śni się zwieszony krawat męski, nienoszony przecież przez kobiety— to napewno przyśnił się jej (w symbolu) organ męski“. Równie napewno Freud wie, że śnienie o rytmie muzyki, o drabinie i schodach jest marzeniem o... akcie spółkowania, jest wyrazem nerwicy, którą tylko psychoanalityk może uleczyć, uświadamiając pacjentów, o jakich brzydkich rzeczach marzy się im we śnie. Czemu w symbolach? Ba! ponieważ człowiek na jawie jest nieprzyzwoity, a we śnie działa „cenzura“, która wszystkie rzeczy brzydkie ukrywa pod symbolami. Nam zdawałoby się, że we śnie bywamy nieraz szczerze bezwstydni — bez obawy cenzury — ale Freud sądzi inaczej. On bowiem odkrył, że niemowlę ssie pierś matki nie przez instynkt samozachowawczy, nie celem nasycenia głodu, ale przez rozpustę, dla rozkoszy nasycenia instynktu płciowego, — i to w sposób przestępny: przez smakowanie stosunku kazirodczego z matką (kompleks Edypa).

Tedy p. Appenszlak, rozkochany zdawna w „psychoanalizie“ zadaje sobie na wstępie pytanie: „czy możliwym jest taki kompleks, taki rodzaj „dybuka“ zmarłego ojca w ciele córki, strzegącej wierności“? Wielbiciel Freuda i sprawozdawca teatralny „Naszego Przeglądu“ musi wszędzie poszukiwać „kompleksów“ i „dybuków“. Narazie p. Appenszlak odpowiada sobie samemu: „Nie wiem“.

Otóż on sam „nie wie“, czy to jest możliwe, ale zarazem twierdzi, że „w każdym razie ten osobliwy wypadek przeczulenia podnosi teatralność sztuki Stuartów i zdobi ją modnym motywem z zakresu psychoanalizy“. Czyli: niemożliwość psychologiczna służy za ozdobę (modną) sztuki. Tu zauważmy, że p. Appenszlak okazuje się bardzo wątpliwym znawcą modnej teorji psychoanalizy. Albowiem pisze on o „zazdrosnej córce“ i nie zauważa, iż—podług Freuda—zazdrość córki (kompleks chorobowy) polega na tem, iż córka zazdrości matce... miłości swego ojca. Nieuświadomiony kompleks kazirodztwa (Edypa!). A tu przecie córka nie tylko nie zazdrościła matce miłości ojca, ale nadomiar po jego śmierci jeszcze strzegła wierności matki względem niego. Gdzież tu więc jest potrzeba powoływania się na „psychoanalizę“? I co tu jest do analizowania w tej smarkuli, jawnie zmartwionej jawną miłością matki do kogoś obcego, o którego ta córka nie jest bynajmniej zazdrosna?

Fakt, że dzieci obawiają się przyszłych macoch i ojczymów jest dość pospolity — może nie w takich przesadnych rozmiarach, jak w tej sztuczce angielskiej. Ale Appenszlak sądzi, że „casus psychicznej niezwykłości jest tu niewątpliwie naciągnięty; lecz stwierdzić należy — dodaje zaraz — że wyrasta on całkiem naturalnie na podłożu rodziny Lawrece‘ów“, jako że wszyscy w tej rodzinie zabardzo się kochają“. A więc: casus jest i „niewątpliwie naciągnięty“ i zarazem „naturalnie wyrastający“. Znowu konstatujemy, że ten znawca Einsteina i Freuda poprostu nie potrafi logicznie myśleć—a może to stanowi podstawę, iż jest gorliwym reklamistą wątpliwej wartości teoryj?

Ostatecznie p. Appenszlak, który przed chwilą nie wiedział, czy taki „kompleks“ jest możliwy, teraz już wie z pewnością, że „na takim podłożu mogła powstać anomalją w psychice Irenki, anomalje, wyleczane zresztą umiejętnym zabiegiem psychoaanalitycznym doktora Hoane‘a“.

Czy p. Appenszlak wie, co to jest zabieg psychoanalityczny? Przychodzi sobie doktór—mógłby to być przecie i nie doktór, a poprostu znajomy starego Lawrence‘a — i czy to, jako człowiek rozsądny, czy bodaj, jako brzydki plotkarz, powiada dziewczynce: „ależ twój ojczulek to był sobie łajdak, zdradzał twoją mamę i pił whisky“ — i dziewczynka otwiera oczy i nie przeszkadza mamie pójść do ołtarza. I to się nazywa w terminologji p. Appenszlaka „zabiegiem psychoanalitycznym“! Jakkolwiek zabiegi psychoanalityków, wprawiających nieraz pacjentów swoich w nieuleczalne psychozy tłumaczeniem im najniewinniejszych snów na perwersje płciowe i podsuwających im — jak stwierdzono nieraz—czyny przeciwne moralności, ataki płciowe na rodziców, braci, siostry — są niewątpliwie nader ordynarne, to jednak nie mają one nic wspólnego z „zabiegiem“ d-ra Hoane‘a. Nie potrzeba być lekarzem duszy, aby opowiedzieć córce, że jej ojciec się spijał i wiódł życie rozpustne. Nie potrzeba też było w tym wypadku wiele sprytu, aby rozczarować dziecko do ojca. Wystarczało być plotkarzem — jeżeli chodziło o fakty prawdziwe; nikczemnikiem, gdyby chciało się odwrócić serce córki od pamięci o ojcu zapomocą kłamstwa. Ale co byłoby, gdyby Irenka poprostu nie uwierzyła mniemanemu psychoanalitykowi? A może rozczarowana skończyłaby samobójstwem?... Nie byłoby wówczas głupiej komedji—i p. Appenszlak nie mógłby pisać smalonych dubów o „psychoanalizie“ *).

Czytelnik mógł się przekonać, jak w recenzjach teatralnych robi się sławy „narodowym genjuszom“. Zresztą nie mamy zamiaru narzucać nikomu zdania o teorjach Einsteina i Freuda — wolno uznawać obu za genjuszów, ale należy obeznać się krytycznie z ich dziełami, a nie poddawać się hipnozie, która szerzy wokoło wielkich imion ignorancję gwoli „pysze narodowej“, wołająca z lada powodu i bez powodu: „patrzcie! jakich my, z ludu Izraela, wydaliśmy genjuszów—którym nie dorasta do stóp żaden aryjski uczony i których cały świat nauki bezstronnej uznał za twórców prawdy“!

A to jest właśnie—kłamstwo!... Na gruncie nauki toczy się jeszcze walka zaciekła pomiędzy uczonymi, stojącymi — bez różnicy wyznania i narodowości — w tym lub owym obozie, za i przeciw hipotezom Einsteina i Freuda, mające na celu oddzielenie w ich poglądach ziaren prawdy od plew zaślepienia. Ignorancja reporterów tymczasem puszcza publiczności w oczy kurz nowych dogmatów i narzuca świętość nowych autorytetów. Przeciw temu protestuje Wolna Myśl! *Arjel*

---

*) Do rzeczowej krytyki freudyzmu przystąpimy również w bliskiej przyszłości, zaznaczając narazie, że psychoanaliza Freuda znalazła ostrych przeciwników w wybitnych przedstawicielach psychjatrji i medycyny, zwłaszcza we Francji. Red.

Pierwsza karta biblji wobec czasów dzisiejszych

Początek Genesis opowiada nam o stworzeniu „nieba i ziemi" jako dwóch przeciwstawień. Ze stanowiska nowoczesnej astronomji jest to oczywiście nonsensem, gdyż niebo-otchłań nie jest żadnem przeciwstawieniem Ziemi, która także z innemi ciałami niebieskiemi w owej otchłani się znajduje; niebo—utwierdzenie (firmament) jest złudzeniem optycznem.

Ale pomińmy ten światopogląd naiwny; chodzi o tendencję etyczną. Próżnobyśmy jej szukali. Dlaczego się tak stało, co za pobudki skłoniły Elohima do przerwania monotonji nicości w pewnym momencie, czem przedtem się zajmował, czy też nie zajmował, także niewiadomo. Elohim nie tworzy Ziemi uporządkowanej, lecz wymagającej dopiero uporządkowania. A więc możnaby powiedzieć, że dzieła boga nie są doskonałe. Ale czytamy dalej, że Elohim, stworzywszy światło, wiedział, że było „dobre". A więc eksperymentuje, niczem fizyk, czy chemik.

Tak więc z samego już początku gubimy się w niejasnościach. Cóż dziwnego, że starano się wiele rzeczy dopowiadać, których w biblji niema.

Elohim „nazywa" swe twory mianami. Dziwne są owe nazwy dla samotnika otchłani prawieków, który z nikim nie rozmawia.

Światła na przestworze nieba, są dla przyświecania ziemi (Gn I 15). Bardzo to już dziś naiwne. Są światła w otchłaniach nieba, z których przyświecania nikomu nic nie przyjdzie, są ciała ciemne, wogóle nieświecące. Pocóż te puste globy? Ale o tem wówczas nie wiedziano jeszcze, kiedy powstawała księga Genesis. Dzisiejsze globy były tylko światłami i niczem więcej „dla przyświecania ziemi".

Ludzi postanawia Elohim stworzyć na „obraz i podług podobieństwa" swego i stwarza różnopłciowe osobniki. Ładne podobieństwo do bezpłciowego Elohima! Mają oni za zadanie: 1) panować nad zwierzętami i 2) rozmnażać się. Na pokarm przeznacza im roślinność, — podobnie jak zwierzętom. Nigdzie niema wzmianki o mięsożerstwie. Ale w takim razie poco stworzył Elohim zwierzęta, skoro zarówno one jak i ludzie mają się żywić roślinami. Czy może dlatego, żeby człowiek „panował" nad niemi? Wszystko to dziwne: dwupłciowy rodzaj ludzki na „podobieństwo i obraz" Elohima nie może się odnosić do „duchowych" własności Elohima, bo w późniejszych rozdziałach czytamy o materjalnem zachowaniu się boga na ziemi.

Dziś ani rośliny, ani zwierzęta nie są uważane jako stworzone rzekomo dla człowieka. Są to razem z człowiekiem twory przyrody, powstałe równorzędnie, a człowiek jest jednym z ogniw świata zwierzęcego. Nikt tu dla nikogo „stworzony" nie został przez Elohima.

Elohim odpoczywa (Gn II 2). Po dokonaniu dzieła Elohim odpoczywa, jak człowiek zmęczony. Trudno byłoby się dowiedzieć, na czem właściwie ta ciężka i męcząca praca polegała, skoro wszystko stawało się natychmiast na słowo Elohima?

Jehowa stwarza człowieka z prochu ziemi (Gn II 7). Człowiek zrobiony z prochu ziemi, podobnie jak robi go egipski bóg Chnum, czego zachowała się rycina (dr. Alfred Jeremias, ATAO). Człowiek zajmuje w dziele stworzenia stanowisko szczytne. Wszystko jest dla niego, podczas gdy od czasów Karola Darwina, 1871, wiadomo, że nie powstał z prochu ziemi, lecz rozwinął się ze zwierząt.

Zakaz myślenia (Gn II 9 — 17). Elohim osadza człowieka w ogrodzie, „aby go uprawiał i dozorował" (przed kim?). A więc czasy rolnicze powstania mitu. Dwa były tam drzewa szczególne (Gn II 9): jedno drzewo życia, a drugie poznania dobrego i złego. Elohim wydaje zakaz: „z drzewa poznania dobrego i złego — spożywać (owocu) nie będziesz, bo gdy spożyjesz z niego, umrzesz!" Chodziło więc o szlachetną chciwość człowieka do rozróżniania między dobrem i złem, to co w dzisiejszych czasach jest podstawą społecznego życia ludzi. Zdaniem niektórych komentatorów chodziło o zakaz, który dał człowiekowi popęd do zastanawiania się i rozpoznania. Gdyby się nawet na taki wykład godzić, to byłoby szczególnem, że ów szlachetny popęd do refleksji miał się zrodzić pod wpływem zakazu, a więc czegoś negatywnego, nie zaś nakazu. Człowieka, który nie umie odróżniać między dobrem a złem, nazywamy w czasach dzisiejszych „moralnie chorym". Ów zakaz więc jest nakazem: bądź niemoralnym! Ładnie postępuje więc Elohim w samem zaraniu istnienia człowieka.

Cel stworzenie zwierząt (Gn. II 19). Jahwe Elohim stwarza zwierzęta i przyprowadza do człowieka, „aby zobaczył, jak je nazwie; a jak bądź nazwie człowiek każde jestestwo żywe,— taką będzie nazwa jego". Ciekawe to, że ów Jahwe Elohim sam tego zgóry nie wie i zastanawia owa nadzwyczajna rola, jaką przypisuje nazwom. Ale nazwa, słowo, to klucz magiczny do władzy nad samym przedmiotem nazywanem. Kto zna nazwę zwierzęcia, ten może niem kierować, coś podobnego, jak my dzisiaj, wymawiając imię, np. psa, potrafimy go przy pomocy tego imienia przywołać.

Stworzenie kobiety z żebra (Gn. II 23). Ciekawe, jak może powstać kobieta, a więc cały organizm ludzki z żebra, a więc jego części. Ale owo stworzenie kobiety z żebra, to niejako wyrażenie, że jest towarzyszką przy jego boku. Podobnie Pallas Athene, uosabiająca mądrość, miała wyskoczyć z głowy ojca swego Zeusa.

St. Aste

Religja popiera głupotę i osłabia poczucie rzeczywistości

Bertrand Russel

Gorzkie pigułki

Niesłychane wątpliwości. Kanonik W. J. Sparrow Simpson zakończył swoje kazanie słowami: „Najbardziej zależy nam na tem, aby ustalić, czy przyczyna ostateczna jest ślepą nieinteligentną siłą, czy też żywym, kochającym bogiem“? Doprawdy, graniczy to z bluźnierstwem. Kanonik anglikański natchniony przez żywego i kochającego boga, zadaje sobie nagle podobne pytanie! Chyba nie może mieć żadnych wątpliwości, co do wszechmocnego ojca „Naszego Pana“ — istoty wszechpotężnej, miłującej wszystkich jednakowo i wszechwiedzącej? Czy też zaczyna badać podstawy swojej religji?

Swoboda prasy. Naturalnie, że swobody prasy można nadużyć i że to się zdarza. Dziwne jednak, że chociaż wielu ludzi gotowych jest ryzykować w interesie tyranji i cenzury, lecz bardzo niewielu zechce ryzykować w interesie wolności. Nie można jednak żyć, nic nie ryzykując, a doświadczenie pokazuje, że na długą metę wolność jest mniej ryzykowna od cenzury i konfiskaty. Przypuszczamy, że pierwszy sposób postępowania jest dlatego bardziej popularny, że polityka wolnościowa wymaga pewnej dozy inteligencji i uczciwości.

Program wolnomyślicieli. Żądamy, by każdy człowiek mógł dać wyraz swoim poglądom, nie ściągając na siebie kary. Nie żądamy tolerancji dla kogokolwiek, lecz jednakowej wolności dla wszystkich. Nie żądamy swobody poglądów dlatego, byśmy sądzili, że pewne opinje są słuszne, lecz dlatego, że sądzimy, iż można dojść do prawdy jedynie na drodze swobodnej dyskusji i jedynie na drodze zachęcania ludzi do przedstawiania różnic w zapatrywaniach nastąpić może ta rewizja przyjętych wartości, na której polega postęp. Przyjęcie zasady swobody myśli i słowa nie ma nic wspólnego z tem, czy dana opinja jest słuszna, czy niesłuszna.

Zasada ta jest kamieniem węgielnym programu wolnej myśli. Wolni myśliciele mogą się różnić między sobą i różnią się w najrozmaitszych sprawach i wierzeniach politycznych, etycznych i społecznych. Wolni myśliciele nie mają politycznego programu nie dlatego, by uważali polityczne programy za bezużyteczne, lecz dlatego, że spotykają się i współpracują ze sobą na innej platformie. Jedność ich opiera się na przekonaniu, że postęp społeczny zależy od zdolności rozwiązywania wszelkich zagadnień społecznych i intelektualnych bez uciekania się do jakichkolwiek wierzeń religijnych; że usprawiedliwieniem każdej instytucji może być tylko jej pożytek społeczny i że wszystkie religje świata zrodziły się z błędu i potępiały niesprawiedliwości. Dlatego wolnomyśliciele propagują swobodę jednostki i uspołecznienie ludzkiej pracy.

(Z rocznego sprawozdania Komitetu Wykonawczego Narodowego Towarzystwa świeckiego).

Ludzie i zwierzęta podczas wojny. Zwracamy uwagę na to, że rząd przyrzeka nam zaopatrzyć każdego mieszkańca naszego kraju w maskę gazową, lecz nie wspomina nic o doraźnej pomocy dla koni, osłów, psów, kotów i innych zwierząt domowych. Jasnem jest jednak, że gdy bomby gazowe padać będą jak grad na nasze miasta, ani jedno zwierzę nie pozostanie przy życiu. Jesteśmy zupełnie pewni, że każdy właściciel psa lub kota, a zwłaszcza konia lub krowy, chętnie poniesie dodatkowe koszty, by uratować swego wychowanka, pomocnika lub żywiciela. Zaoszczędzi to nam widoku miljonów nieżywych zwierząt w domach i na ulicach. Nie zapominajmy, że te zwierzęta są cząstką naszych ognisk domowych i że wielu z nas interesuje się ich losem więcej, niż nawet losem któregoś z ministrów. Radzimy przedsięwziąć jakieś kroki w tej sprawie.

Oprócz tego musimy zająć się niemowlętami. Należy czemprędzej zaopatrzyć je w maski gazowe. Dzieci mają pierwszeństwo nawet przed starcami i staruszkami. Może uda się zbudować kołyski kształtu maski gazowej, w których będziemy stale trzymać niemowlęta, gdy nie będziemy ich kąpać ani karmić. Bombardowanie zacznie się bez żadnego ostrzeżenia, musimy więc być przygotowani już teraz. Proponujemy otwarcie wystawy masek gazowych dla niemowląt, by otworzyć ogółowi oczy na niebezpieczeństwo.

Spirytyzm jako nauka. Na uniwersytecie szwedzkim w Lund ustanowiono pierwszą na świecie katedrę spirytyzmu. Jeden z członków uniwersyteckiego koła spirytystycznego w Sztokholmie jest obecnie w Londynie i poinformował niedawno reporterów, że grupa spirytystów niemieckich zabiera się do sfotografowania duszy. Życzymy im powodzenia w tak trudnem zadaniu. Będzie to może nieco kłopotliwe, jeśli okaże się, że dusza żydowska posiada subtelniejszą budowę i większe możliwości rozwoju, niż aryjska; albo jeśli obie dusze będą zupełnie jednakowe. Miejmy nadzieję, że żydzi wogóle nie mają duszy.

Poligamja w niebie. Jeden z katolickich redaktorów odpisuje zakłopotanemu czytelnikowi: „Choć może się to panu wydać dziwnem, jednak jeśli ktoś ożenił się kilkakrotnie i jeśli on i jego małżonki dostaną się do nieba, żyć będą razem zgodnie i szczęśliwie, gdyż będą się kochać w bogu i dla boga“.

Salomon musi mieć wyjątkowo przyjemny żywot w niebie—choć na nieszczęście nie możemy się dowiedzieć, czy nie przesycił się już trochę swemi 300 żonami, z któremi przebywa w niebiańskiej szczęśliwości od jakichś 2.500 lat. Ciekawi jesteśmy co myślą żonaci mężczyźni o perspektywie spędzenia całej wieczności z jedną małżonką? Niektórzy sądzą już może, że piekło byłoby lepszą rzeczą.

Stosunek kościoła do postępu. Przewodniczący Zgromadzenia Prezbiterjańskiego zapytuje żałośnie: „Czemuż kościół ma zawsze pozostawać wtyle“? Jakże może być gdzieindziej instytucja, której przywódcy i zwolennicy mają idee zawczasu dla

nich wybrane, wierzenia zgóry dla nich spreparowane i prócz tego grożą im różne męki i kary o ile chcieliby wprowadzić cośkolwiek nowego w którejś z tych dziedzin. Najbardziej „postępowy" myśliciel religijny może tylko starać się przybrać prymitywne idee w strój nowoczesny i najbardziej „postępowy" kościół zastanawia się tylko nad tem, ile nowości zmuszony będzie przyjąć w celu utrzymania się na powierzchni. W kościele — chrześcijańskim czy innym — istnieje wieczny konflikt między starem a nowem, podobnie jak muszą wiecznie walczyć ze sobą dzikość i cywilizacja lub wiedza i ignorancja.

Chrześcijaństwo a dyktatura. Pastor Basil Matthews oznajmił na dorocznem zebraniu Londyńskiego Towarzystwa Misyjnego, że chrześcijanie nie uznają dyktatorów, czynią to jedynie ateiści". Czy p. Matthews na serjo wierzy, że Niemcy, Włochy i inne kraje, w których dyktatura kwitnie, nie są chrześcijańskie? Przyklaskuje niemieckim pastorom, którzy nie chcą stracić dobrze płatnego zajęcia, lecz nie widzimy powodów do przypuszczania, że masy luterańskie i katolickie przeciwne są dyktaturze Hitlera. Chcielibyśmy też wiedzieć, ilu z pośród protestujących pastorów podniosło głos przeciw prześladowaniu socjalistów, wolnomyślicieli i innych reformatorów społecznych, którzy, o ile pozostali przy życiu, cierpią obecnie w obozach koncentracyjnych?

Poco kościół istnieje? Pastor George Jackson podejmuje się trudnego zadania wyjaśnienia racji bytu kościoła na łamach „Methodist Recorder". Nie byłoby mu oczywiście wolno „wyjaśnić", że kościół jest maszyną do zbierania gotówki celem utrzymania kaznodziejów, głoszących kłamstwa, w które wielu z nich nie wierzy. P. Jackson odrzuca przypuszczenie, że nasze kościoły są tylko stowarzyszeniami etycznemi". Rzeczywiście, kościoły naogół niechętnie odnoszą się do etyki. Jednak w czasie wojny kościoły propagują etykę pewnego rodzaju: kto ciekaw szczegółów, niech przejrzy napisane wtedy kazania.

Zdemaskowanie ceremonji. Doprawdy „Daily Express" źle się sprawuje! Niedawno we wiosce Cannington w Somerset wikary i chór wraz z dziećmi ze szkoły „niosącemi różdżki z przymocowanemi do nich bukietami", obchodzili ceremonję „pobłogosławienia pól". Kapłani chrześcijańscy błogosławią często w imię Jezusa Chrystusa pokarm, zwierzęta domowe, okręty, morze etc. Cóż, kiedy „Daily Express", zdradziła cały sekret, pisząc, że „zwyczaj ten bierze początek w uroczystości, którą ustanowił pogański Rzym na cześć Cerery, bogini plonów". Obawiamy się, że pobożni czytelnicy zaklną po przeczytaniu tej uwagi.

Pacyfizm papieża. P. J. Douglas przytacza jako przykład przewodnictwa międzynarodowego modlitw papieża: „Rozprosz, o panie, ludzi, którzy chcą wojny". To jest naprawdę godne podziwu i tak bezpieczne! W tem właśnie bieda, że nikt nigdy nie chce wojny. Jeśli tylko inne ludy dadzą danemu narodowi to, czego chce, nie naruszą jego słusznych praw, a przedewszystkiem pozwolą mu samemu zadecydować, jakie są jego słuszne prawa, to ten naród nigdy nie wyruszy w pole. Modlitwa papieża byłaby odpowiednia dla Mussoliniego i każdego innego. Takie właśnie rzeczy usprawiedliwiają łotrów w oczach głupców.

Z „Freethinker'a"

KRONIKA

40.000 ZŁ. i 100.000 EGZ.

Komitet Centralny „Bundu" przeprowadził ostatnio dwie akcje prasowe na rzecz swego centralnego organu—dziennika „Naje Folkscajtung". Obie akcje wykazały przywiązanie robotników żydowskich do swego organu.

Pierwsza dotyczyła funduszu prasowego, na który zebrano ok. 40,000 złotych. Kwota jest imponująca, jeżeli się zważy, że osiągnięta została w dzisiejszych ciężkich czasach kryzysu i bezrobocia.

Druga akcja—to t. zw. „dni prasowe". W tych dniach organizacje „Bundu" kolportują „Folkscajtung" wśród najszerszych warstw żyd. ludności pracującej. Podczas dni prasowych — 8 i 9 czerwca r. b. — rozpowszechniono około stu tysięcy egzemplarzy „Folkscajtung", pisma wyraźnie wolnomyślicielskiego.

KOBIETA W TURCJI

Turczynka, p. Bayan Munire, została mianowana prezesem sądu karnego w departamencie Uszaku. Jak na kraj, który dopiero przed szesnastoma laty zniósł niewolnictwo kobiet i otworzył przed niemi podwoje wyższych uczelni, to postęp nielada. O ile wiemy, w żadnym innym kraju na świecie, nawet w tych, które szczycą się swoją postępowością, kobiety takich stanowisk nie zajmują, a francuski dopiero przed trzema miesiącami weszły w znikomej liczbie do rad miejskich skutkiem zastosowania do ich wybieralności parlamentarnego numerus clausus: najwyżej dwie kobiety na jedną radę.

UPAŃSTWOWIENIE POLSKIEGO RADJA

Polskie Radjo było spółką akcyjną, której 40% akcyj znajdowało się w rękach państwa, a reszta w rękach prywatnych kapitalistów takich, jak pp. Chamiec, Skulski, Fudakowski, Pułaski i t. d. Obecnie rząd wykupił resztę akcyj od prywatnych posiadaczy i stał się tem samem właścicielem tak ważnej pod względem informacyjnym i propagandowym placówki, jaką jest radjo. Obecny dyrektor P. R. p. Chamiec otrzymał dymisję z roczną odprawą. Jedno z naczelnych stanowisk w nowej dy-

rekcji P. R. zajmie p. Roman Starzyński, dyrektor gabinetu ministra poczt i telegrafów.

Czy liczba mszy i nieszporów, nadawanych przez radjo, zmniejszy się przez to? Na pewno nie.

ZBYTECZNA KRWAWA OFIARA

Lipcowy „Rycerz niepokalanej“, zachwalając mszę katolicką, jako jedyny i najskuteczniejszy sposób czerpania pełnemi garściami z „obfitości owoców Odkupienia“, cytuje zapewnienie św. Jana Chryzostoma (344—407), iż „jedna msza tyleż znaczy, co śmierć Jezusa na krzyżu“. Szkoda, że Jana Chryzostoma, doktora kościoła, nie było w Jerozolimie w chwili, gdy rozgrywała się domniemana tragedja Golgoty, bo może udałoby mu się przekonać Piłata i innych, że skazywanie na śmierć żywego człowieka jest rzeczą zbyteczną i niepotrzebną, bo każdą krwawą ofiarę można zastąpić z równie dobrym skutkiem symboliczną niekrwawą ofiarą, czyli mszą.

KSIĄDZ ZABIŁ ROBOTNIKA

Jak podaje radomskie „Życie robotnicze“ ks. Sendys, proboszcz kościoła parafjalnego we Wsoli zastrzelił w dniu 18 czerwca 24-letniego robotnika, Franciszka Witkowskiego, zatrudnionego przez sejmik przy budowie szosy, za to, że mu zerwał z ogrodu czerwony goździk i łodygę grochu. Ponieważ chodziło tu o wypełnienie przez sługę bożego piątego bożego przykazania, ks. Sendys dał do Witkowskiego pięc strzałów z browninga bez żadnego uprzedzenia. Pogrzeb zabitego odbył się w Radomiu. Ks. Sendys, jako wychowany na teologji moralnej św. Alfonsa, rozgrzeszył się już dawno i znów konsekruje prawidłowo, rozkazując bogu w myśl postanowienia, zapisanego w ewangelji Mateusza w rozdziale XVIII : 18 i ewangielji Jana w rozdz. XX : 23 *). Jest bowiem posiadaczem skarbów wychowawczych nieskończonej wartości.

Ale nawet morderstwo nie otworzy oczu wyzyskiwanym przez kler wierzącym owcom i baranom.

„ODEBRAĆ IM BROŃ PRZED WYRZUCENIEM Z POLSKI, BO ZAMIAST BŁOGOSŁAWIĆ, MORDUJĄ LUDZI

A oto drugi wypadek. We wsi Daszkowce pow. Grodzieńskiego miejscowy proboszcz, Bolesław Koruń (a może poprostu „Kozuń?“) „postanowił zajechać pohoreszkowsku łąkę, stanowiącą wspólną własność wsi. Wynajął w tym celu 15 kosiarzy i kazał im skosić trawę na nieswojej łące. Widząc to chłopi, ruszyli ławą na plebańskich rabusiów i po zaciętej bójce, wyparli ich z daszkowieckiego Gran Chaco. Na widok tego sromotnego pogromu swoich kondotjerów, ks. Koruń (a może Kozuń?) chwycił w ręce, przywykłe do błogosławieństw i rozgrzeszeń, nie dwu ramienny krzyż, a kilkostrzałowy rewolwer i dał z niego w ciżbę chłopską 5 strzałów, raniąc kilka osób.

*) Mt. 18 : 18: „Zaprawdę powiadam Wam: Cobyściekolwiek związali na ziemi, będzie związane i na niebie“...

Na miejsce wypadku zjechały władze śledcze i spisały o zajściu protokół. Sprawą zajął się prokurator Sądu Okręgowego w Grodnie.

Jak się okazuje, nawet ciemny chłop, chodzący skrupulatnie na wszystkie okoliczne odpusty i uważający nadal księdza za osobę pozostającą w stałym kontakcie z siłami nadprzyrodzonemi, nie daje już dziś sobie mydlić oczu, lecz zapomina o chrześcijańskiej „pokorze“ tudzież nieskarbieniu sobie skarbów na ziemi i broni swego.

Do wsi Daszkowce administracją naszego pisma wysłała kilkadziesiąt egz. „Błysków“ do rozdania ich pomiędzy ludność.

W paru słowach

Do czego służą procesje? W grecko-katolickie Zielone świątki urządzili ukraińcy w Stanisławowie manifestację polityczną, korzystając z procesji cerkiewnej.

Skazanie księdza. Sąd grodzki na sesji wyjazdowej w Zduńskiej Woli skazał w dn. 9 lipca r. b. na 6 miesięcy aresztu ks. Marjana Wiśniewskiego za obrazę podczas kazania w dn. 16 maja r. b. władzy, reprezentowanej przez Marszałka Piłsuskiego. Gdy jedni księża wylegli chmarą na ulice Warszawy i Krakowa, aby się wydawało, że i oni też kochają Marszałka, inni mówią szczerze, co naprawdę o nim myślą.

Przemyt w bożnicy. W bożnicy przy ul. Szpitalnej we Lwowie straż graniczna dokonała rewizji i znalazła pod kupą cebuli 10 kg. sacharyny, przemyconej z Niemiec i 2 kg. kamieni do zapalniczek tegoż pochodzenia. Aresztowano trzy osoby, wtajemniczone w owo nadprzyrodzone pochodzenie przemytu i mogących znać konsekracyjne tajemnice przeistoczenia się cebuli w sacharynę i krzesiwka zapalniczkowe.

Pomnik ks. Skorupki. Sfery lansujące „cud nad Wisłą“ ks. Skorupki zebrały ok. 3800 zł. na jego pomnik. Za pieniądze te Warszawski oddział Polskiego Tow. Opieki nad grobami bohaterów ma w piętnastą rocznicę „cudu nad Wisłą“ postawić pomnik temu „bojownikowi o wolność“ na polach radzymińskich. Pomnik ma być uczyniony z narzutowego głazu, co ma znaczyć, że ks. Skorupka, jako „bohater“, został narzucony Polsce przez pokrywający nasz kraj lodowiec watykański.

Zamiast dzwonu do fary. Amerykanka J. D. Dunlop ofiarowała uniwersytetowi w Ontario w Kanadzie całe obserwatorjum astronomiczne z teleskopem, ważącym 2,500 kg. i zaopatrzonym w zwierciadło o średnicy półtora metra. Gdyby to była polka, ofiarowałaby napewno dzwon do fary lub nowy ołtarz dla św. Ekspedyta.

Nowe Koło P. Z. M. W. W Gdyni powstało nowe Koło naszego Związku. Adres Koła: Morska 98 m. 75. Zarząd stanowią: ob. Leon Leja—przewodniczący, Stefan Werner—sekretarz, Władysław Robak—skarbnik, Ernest Raulin—referent.

Z PRASY

Z osobliwości religji starotestamentowej

„Kurjer czerwony" z dn. 27.IV r. b. zamieścił następujący artykulik:

W Stanisławowie odbył się onegdaj niezwykły obrzęd na tle rytuału żydowskiego, oparty na starodawnych zwyczajach, datujących się jeszcze z czasów składania przez ludność żydowską ofiar t. zw. całopalenia w świątyni.

Zamieszkały przy ul. Halickiej w Stanisławowie niejaki Berger—kupiec, prowadzi hodowlę kóz.

Przed paru dniami jedna z kóz urodziła małe, które — jak się okazało—było samcem.

Według rytuału żydowskiego właściciel nowonarodzonego koźlęcia (samca) winien zawrzeć formalną umowę sprzedaży zwierzęcia z innowiercą, aby je po podrośnięciu ponownie odkupić.

Właściciel zwierzęcia zapomniał jednak, czy też nie wiedział wogóle o tym przepisie, z tego też powodu nie zawarł żadnej umowy sprzedaży koźlęcia z innowiercą, wobec czego według rytuału koźle stało się t. zw. świętą ofiarą, której nie wolno bić, ani pędzić. Zwierzątko z nieznanych jednak przyczyn w parę dni po urodzeniu zdechło.

Za radą sąsiadów udał się kupiec B. do rabinatu, celem zasięgnięcia opinji, co należy z nieżywem zwierzęciem zrobić.

Polecono mu tam, aby urządził koźlęciu rytualny pogrzeb żydowski i pochował je na cmentarzu.

Gorliwy wyznawca wiary mojżeszowej zastosował się ściśle do otrzymanych poleceń i pochował zwierzę na starym cmentarzu żydowskim, gdzie początkowo czyniono mu pewne trudności ze strony zarządu cmentarza.

Najciekawszy w całej tej sensacyjnej sprawie jest fakt, że kahał żydowski, który zazwyczaj za miejsce na cmentarzu każe sobie słono płacić, musiał w tym wypadku udzielić bezpłatnego miejsca na grób dla tego „nieboszczyka".

Jak widzimy — żydzi dzięki swej religji mają wielce ułatwione życie.

Do niniejszego n-ru dołącza się Nr. 17 „Błysków".

PRENUMERATA WOLNOMYSLICIELA POLSKIEGO:
(łącznie z „Błyskami wolnomyślicielskiemi")

rocznie	zł. 20.00	miesięcznie	zł. 1.75
półrocznie	„ 10.00	numer pojedyńczy	„ —.60
kwartalnie	„ 5.00	zagranicą rocznie	„ 25.00

PRENUMERATA „BŁYSKÓW" (bez „Wolnomyśliciela Pol."):

Za 1 egz. rocznie	zł. 2.40	Za 10 egz. rocznie	zł. 18.00
„ 5 „ „	„ 10.00	„ 10 „ półrocz.	„ 9.00
„ 5 „ półrocznie	„ 5.00	„ 10 „ kwartal.	„ 4 50

10 egzemplarzy zagranicą zł. 28.— rocznie

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Królewska 16, tel. 218-14 — Konto czekowe P. K. O. 14.200

Redaktor **Józef Wroński** Wydawca **„Wolność" sp. z o. o.**

Drukarnia Wydawnicza, Warszawa, Kacza 15, tel. 603-46.